Instytut Bałtycki
Wydz. Bibliot.
G d a ń s k

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

# Wieś

## tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

J. K. MACIEJEWSKI — Wesele współczesnego Boryny
St TREUGUTT — Goethe a Niemcy dzisiejsze
St. MARCZAK-OBORSKI — Wies Janków Muzykantów
S. ARNOLD — Lenin i partia
M. OSTROWSKI — Jak hartowała się stal
L. SOBIERAJSKI — Lipce Reymontowskie
Fr. HALAS — Wiersze

Rok VI | Warszawa, dn. 13 listopada 1949 r. | Nr 46 (225)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
C IV 9037

## *Redakcja „WSI" ogłasza*

# KONKURS na REPORTAŻ

**Wieś nasza znajduje się dzisiaj w okresie wielkiego przełomu. Zachodzą w jej życiu gospodarczym, społecznym i kulturalnym głębokie przemiany. Przemiany te dokonują się z trudem, bo w ciężkiej walce klasowej. Drobno i średniorolne chłopstwo w dążeniu do uspołecznionej gospodarki** (spółdzielnie „Samopomoc Chłopska", ośrodki maszynowe, grupy plantatorów i hodowców), **w parciu do oświaty i kultury** (około czterech tysięcy świetlic Z.S.Ch., zespoły amatorskie, samokształceniowe, 20.000 punktów bibliotecznych, wzrost zainteresowania prasą i książką, około 750 szkół rolniczych, około 100 gimnazjów chłopskich, 44 uniwersytety ludowe, podnoszący się z roku na rok procent młodzieży chłopskiej obok robotniczej w szkolnictwie średnim i wyższym), **w swoich próbach tworzenia lepszych, racjonalniejszych form gospodarowania** (pierwsze w tym roku spółdzielnie produkcyjne) — **natrafia w swoich wysiłkach przebudowy ustroju na duże opory ze strony kapitalistycznych elementów wczorajszej wsi.**

**Ustrój kapitalistyczny utrwalił na wsi autorytet bogacza wiejskiego, ten autorytet potwierdziła i literatura burżuazyjna.**

**Dzisiaj jeszcze grupa bogatych chłopów, posługując się nimbem dawniej narzuconego biedocie wiejskiej autorytetu — stara się paraliżować wiele akcji gospodarczych czy kulturalnych, jakie dla ogólnej poprawy bytu wsi podejmują podstawowe masy chłopskie, znajdujące pełną pomoc i poparcie Państwa Ludowego.**

**Spółdzielczość w jej różnych formach, wzrost oświaty i podnoszenie się kultury na wsi, to szansa szybkiej likwidacji źródeł resztek kapitalistycznego wyzysku, który bogacze wiejscy stosowali i stosują jeszcze wobec drobno i średniorolnych mas chłopskich. Element kułacki, w oparciu o reakcyjną część kleru, prowadzi dzisiaj zażartą walkę o zatrzymanie tych procesów. Wystarczy przypomnieć niechętny stosunek niektórych wiejskich „plebanów" nawet do akcji likwidowania analfabetyzmu na wsi, wystarczy przypomnieć narzucanie opinii wiejskiej właśnie przez bogaczy i właśnie przez plebanię niechętnych ocen o książkach naszych postępowych pisarzy chłopskich, wystarczy wreszcie przypomnieć, że nawet teatr objazdowy „Artos"-u, przyjmowany na ogół z życzliwością i dużym zainteresowaniem przez wieś, natrafiał i na zdecydowaną niechęć chłopów, tam gdzie kułak jeszcze formował społeczną opinię.**

### *PISARZE!*

**Stoicie dziś wobec zadania nie tylko literackiego zapisu, dokonujących się na wsi przemian, stoicie również wobec zadania pisarskiej pomocy dla mas chłopskich, które w ciężkiej walce budują na swoim odcinku nowy ustrój, znajdując oparcie i pomoc w klasie robotniczej. Wasze pisarstwo powinno pokazywać drobno i średniorolnym chłopom ich wroga klasowego, winno stworzyć w literaturze nowe wzory społeczne — działacza wiejskiego, winno za temat swojej twórczości wziąć te wszystkie instytucje, które dzisiaj na wsi powoli i z trudem przekształcają i formy gospodarowania, i świadomość społeczną i kulturalną podstawowych mas chłopskich.**

**Redakcja Tygodnika Społeczno-Literackiego „Wieś" apeluje zatem do wszystkich pisarzy: członków Związku Zawodowego Literatów Polskich, do pisarzy również, którzy dopiero próbują swojego pióra, zwraca się także do działaczy społecznych, oświatowych i kulturalnych tak chłopskich jak i robotniczych — o wzięcie udziału w Konkursie na reportaż o wsi.**

Reportaże na konkurs, wyspecyfikowane tematycznie, winny przedstawić najistotniejsze zagadnienia wsi. W swoich najwybitniejszych pozycjach dadzą one książkę, która będzie obrazem dzisiejszej wsi — **oto założenie konkursu.**

### *Nagrody:*

| | |
|---|---|
| **I nagroda (Ministerstwo Kultury i Sztuki)** | **200.000 zł.** |
| **II nagroda (Ministerstwo Rolnictwa)** | **150.000 „** |
| **III nagroda (Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska")** | **100.000 „** |
| **3 następne nagrody po 50.000,— zł. (Zarząd Gł. Zw. Samopomocy Chłopskie)** | **150.000 „** |
| **2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Oświaty)** | **100.000 „** |
| **2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Lasów)** | **100.000 „** |
| **2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Poczt i Telegrafów)** | **100.000 „** |

Nagroda Z.S.Ch. zostanie przyznana za prace, które nawet przy mniejszych walorach literackich, wyróżnią się szczególnie klasowo słusznym ujęciem zagadnień dzisiejszej wsi.

Nagroda Ministerstwa Oświaty — za najlepsze prace, nadesłane przez pisarzy — nauczycieli wiejskich (prosimy autorów nauczycieli o zaznaczenie przy godle lit. N.).

### *Tematy reportaży:*

1) **spółdzielnia produkcyjna**
2) **Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"**
3) **Koło gromadzkie — komórka podstawowa Związku Samopomocy Chłopskiej**
4) **Ośrodek maszynowy**
5) **Ośrodek zdrowia**
6) **grupy plantatorów i hodowców**
7) **Państwowe Gospodarstwa Rolne**
8) **Współzawodnictwo pracy**
9) **świetlica na wsi**
10) **likwidacja analfabetyzmu**
11) **czytelnictwo na wsi**
12) **zespół samokształceniowy**
13) **zespół amatorski**
14) **twórczość ludowa**
15) **poczta na wsi**
16) **kobieta wiejska dziś**
17) **opieka nad dzieckiem wiejskim**
18) **awans młodzieży chłopskiej:**
    a) **ze względu na możliwości wewnętrzne wsi,**
    b) **do miast (studia, zawody, przemysł)**
19) **działalność organizacji politycznych i społecznych: P.Z.P.R., S.L., Z.S.Ch., Z.M.P.**
20) **sport na wsi**
21) **chłopski czyn na zjednoczenie ruchu ludowego (27 listopada 1949 r.)**
22) **ruch łączności wsi i miasta**

### *Warunki konkursu:*

Reportaż, zaopatrzony godłem, winien być nadesłany Redakcji Tygodnika „Wieś" (Warszawa, pl. Starynkiewicza 7) w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 31 grudnia 1949 r.**

W osobnej zamkniętej kopercie, zaopatrzonej na zewnątrz godłem, należy umieścić nazwisko i adres autora (niepublikujący dotychczas autorzy winni załączyć życiorys).

Reportaż nie powinien przekraczać 16 stron maszynopisu z interlinią.

Reportaż w miarę możności winien być uzupełniony materiałem fotograficznym lub graficznym (zdjęcia, rysunki) z opisywanej wsi.

Redakcja Tygodnika „Wieś" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych prac.

**Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w numerze tygodnika „Wieś" z dnia 19 lutego 1950 r.**

Nagrody będą rozdane dnia 18.II.1950 r.

### *Skład Jury:*

| | |
|---|---|
| 1) Marszałek Sejmu | **— Władysław Kowalski** |
| 2) Autor „Stare i Nowe" | **— Lucjan Rudnicki** |
| 3) Z ramienia Min. Kultury i Sztuki | **— Jan Wilczek** |
| 4) Z ramienia Min. Oświaty | **— Władysław Ozga** |
| 5) Z ramienia Min. Rolnictwa | **— Piotr Greniuk** |
| 6) Z ramienia Instytutu Badań Literackich | **— Stefan Żółkiewski** |
| 7) Z ramienia Związku Zawodowego Literatów Polskich | **— Anna Kamieńska-Śpiewakowa** |
| 8) Z ramienia Polskiego Radia | **— Romuald Gadomski** |
| 9) Z ramienia Zarządu Gł. Związku Samopomocy Chłopskiej | **— Stefan Ignar, Bodalski Mieczysław, Wacław Schayer, Franciszek Jaszczuk** |
| 10) Z ramienia Redakcji „Wsi" | **Jan Aleksander Król, Leonard Sobierajski, Maria Żmigrodzka, Wiesław Jażdżyński** |

### *Apel do wsi:*

**CHŁOPI!**

**Gdy w listopadzie i grudniu znajdą się u Was pisarze, rozmawiajcie z nimi z pełną ufnością, starajcie się odkryć im to wszystko, co Was nurtuje, przedstawcie osiągnięcia, radźcie o usunięciu trudności, zwierzajcie swoje projekty lepszego zorganizowania życia w dzisiejszym ustroju.**

---

**Redakcja Tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" zwraca się z prośbą do organizacji politycznych i społecznych o udzielenie wszelkiej pomocy pisarzom, którzy w miesiącu listopadzie i grudniu znajdą się na wsi dla zebrania materiałów do reportaży.**

**Zespół Redakcyjny Tygodnika**
***„WIEŚ"***

Obraz Leokadii Kosieniak „Klub „Wieś Tworząca" w Zalipiu składa dar Prezydentowi R. P."

LEOKADIA KOSIENIAK

# MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

Mówi się dość dużo o sztuce ludowej, nie zawsze z sensem. Spotykałam się w czasopismach z artykułami i reprodukcjami omawiającymi twórczość rodzimej mojej okolicy a nawet moją własną, z wielkim i rzekomym znawstwem.

Żaden jednak artysta ludowy nie wyrzekł swego słowa. Oczywiście, że wielu z nich bardzo słabo włada piórem, nie mówiąc o sporym procencie analfabetów, ale prawdą jest również, że nikt im tego nie zaproponował. Mam wrażenie, że naukowcy starej daty niechętnie widzieliby usamodzielnianie się twórców ludowych i chcą mieć swego rodzaju monopol na wszelką mądrość w tym zakresie. A tu są sprawy pilne, które ci opiekunowie nasi przeoczają. Niech głos mój przerwie to milczenie, gdyż wieś powoli zaczyna świadomie tworzyć, w miarę jak dopływ książek i czasopism do świetlic wiejskich zaczyna budzić myślenie oraz świadomość klasową. Z chwilą likwidacji analfabetyzmu nawet najstarsi artyści wiejscy wezmą udział świadomy w nowym życiu, na które składa się również kultura ludowa, a więc ich twórczość artystyczna.

Jestem dziewczyną wiejską o poziomie kulturalnym takim, jaki wyznacza to ukończenie szkoły powszechnej za okupacji. W dawnych warunkach ustrojowych przeznaczeniem moim byłby spadek do powrotnego analfabetyzmu i praca na roli, według utartych, przedpotopowych metod i tradycji. Że się stało inaczej, jest to prawie cudem, ale że nie było w tym cudu, należy wszystko opisać, bo to najdziwniejsze. A więc podaję swój życiorys:

Jestem młoda, mam dopiero szesnaście lat. Od pierwszych chwili życia obcowałam ze sztuką ludową, bo chyba mało na świecie jest miejscowości bardziej uartystycznionych, niż wieś Zalipie, w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Tam, za naszych babek, narodziło się ludowe malarstwo ścienne, które rozsławiło Zalipie po całej Polsce, często mieliśmy i mamy tu gości z zagranicy. Nie tylko wnętrza izb, ale zewnętrzne ściany budynków mieszkalnych i gospodarczych zdobią tu kobiety w przeróżne wzory barwne.

Od najwcześniejszych chwil życia otaczały mnie kwiaty, malowane na ścianach, piecach, acha nawet suficie. Gdy sięgnę do najdalszych wspomnień, majaczy surowa twarz jakiegoś świętego, namalowanego przez matkę na zwykłym papierze pakowym pędzlikiem z krowskiego ogona. Obrazy świętych malowane przez matkę nie były podobne do oleodruków, choć były ich naśladownictwem, gdyż pozbawione były słodkiego rozmodlenia i ckliwej piękności oblicza. Były twarde jak chłopska dola; tylko zestawienie barw i powódź kwiatów ożywiały obraz i nadawały dość ponurym malowidłom radosny nastrój wiary w zwycięstwo radości życia.

Mając lat siedem pojęłam tajemnicę matki i zaczęłam pomagać jej w malowaniu ścian, jak również zaczęłam malować pierwsze nieudolne „makatki" papierowe, a nawet „dywary" — duże arkusze lub dwuarkuszowe malowidła, umieszczane nad łóżkiem. Nasza wieś nie leży wzdłuż ulicy, domy tu są rozrzucone, kobiety mniej poświęcając czasu plotkom, znajdowały upodobanie w malarstwie. Oczywiście dużą rolę odgrywała ambicja, rywalizacja, ale prawdziwym źródłem tej twórczości było upodobanie piękna, nawyk do mieszkania w izbach, które były dalszym ciągiem kwietnego kobierca pól i łąk. Oczywiście, każda z nas czuła, że co innego natura, a co innego dzieło. Nie naśladowano kwiatów, ale tworzono je z wyobraźni, starano, się nawet unikać zbyt wyraźnych podobieństw. Dobra artystka robiła kwiat kombinowany, dbając o sposób jego namalowania, to jest ładne urozmaicenie barw, a często i tematu, przez umieszczenie zwierząt, ptaków lub ludzi w środku jak gdyby altany kwietnej.

Oprócz malowideł na ścianie i papierze, tworzono tu od dawna wycinanki, ozdoby z szyszek i fasoli, wreszcie uprawiano haft, potrzebny do zdobienia stroju ludowego, w który do tej chwili duża część ludności ubiera się odświętnie.

Podczas okupacji pomimo tysiąca nowych zmartwień i dodatkowych prac, malarstwo ludowe nie zanikło. Zbyt mocno odczuwaliśmy potrzebę pokrzepienia i rozpędzenia zmory hitlerowskiego terroru. Śmiesznie wyglądał gestapowiec na tle malowanych jak kaplice izb i pewno zdawał sobie sprawę, że stanowi tu obcy i wrogi szczegół. Oczywiście, że to nie rozbawiało go ale denerwowało, gdyż nie pozostawiało złudzeń co do polskości i kultury tej ziemi. Przyszło wyzwolenie. W czasie zwykłych porządków wiosennych kobiety malowały tym razem nie tylko izby ale i obejścia gospodarskie. Nawet zdobione kurniki i psie budy opowiadały o triumfie ładu i twórczego piękna. Dla mnie wyzwolenie Polski stanowiło duże przeżycie. Poczułam, że świat się zmienił, że coś oczekiwanego ale bardzo dotychczas mglistego, zaczyna wchodzić w normalny tryb życia. Zamiast troski o dobry schowek i odwiezienie na czas kontyngentu weszły w zakres moich zainteresowań takie odległe sprawy jak reforma rolna i odbudowa zniszczeń. Nie odrazu pojęłem szerokość wolności, obserwowałam ją przez wąską szparkę gospodarskich trosk. Wyjechałam np. na Ziemie Odzyskane aby kupić sobie potrzebne rzeczy, lecz po powrocie uświadomiłam sobie, że jestem przypisana do Polski, która jest rzeczą wielką. Uczułam również, że w twórczości wydobywać trzeba na jaw życie, bo to jest sprawą wolności, że człowiek siebie może „wyspowiadać". Dlatego też na konkurs zorganizowany przez TULRP namalowałam obok malowanek z motywami kwiatów, również inne, całkowicie inne niż malowały kobiety. Były tam już tematy takie jak: bombardowanie wsi (wrzesień 1939 r.), czasy hitlerowskiej okupacji, wejście Armii Radzieckiej.

Na konkurs, który kobiety przyjmowały z niedowierzaniem węsząc nowy podatek — za sprawą kierownika szkoły w Podlipiu ob. Jana Grabca, który miał zaufanie, wieś nasza i sąsiednie: Pilcza Zelichowska, Kłyż, Samocice i inne, przybrały się odświętnie.

Przyjechało, wielu gości, zadziwiając całą wieś stosunkiem do nas, nadzwyczaj prostym i przyjacielskim. W konkursie na najpiękniej ozdobioną izbę, pomiędzy innymi moja matka dostała pierwszą nagrodę, oraz nagrodę za krzewienie sztuki ludowej. W konkursie na malowanki: matka, ja, a nawet młodszy brat Sławek, otrzymaliśmy pierwsze nagrody. W czasie wystawy naszych prac, która odbyła się w świetlicy wsi Podlipie, wezwał mnie jakiś znawca, podobno był to dyrektor z Warszawy i pytał dlaczego maluję w murawie takie duże kwiatki, kiedy w życiu omal ich nie widać. Odpowiedziałam zdumiona bardzo, że tak mi się lepiej podoba, ale nie byłam pewna siebie. Myślałam później: jak tu malować, kiedy chcą, żeby było tak jak się widzi; to nie ma sensu. Co jest ładne stawia się na planie. Obraz jest wytworem nie aparatu a człowieka, który wie jak ułożyć obraz, powiększyć czy pomniejszyć przedmioty w zależ-

**Dokończenie na str. 2-ej.**

Dn I 74/52

# MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

(Dokończenie ze str. 1)

ności od ich wagi i barwności. Większość z nich należy odrzucać — inaczej wyjdzie z tego bałagan. I jeśli dziś uczę się perspektywy, to uznaję, że ludowa perspektywa, niewzrokowa ale tematyczna, w zależności od malarskości przedmiotu i jej uczuciowej czy myślowej ważności, jest równie dobra, a nawet inteligentniejsza.

Widziałam natomiast, jak studenci z Akademii Sztuk Pięknych patrząc na obraz mój wystawiony na Wystawie Sztuki i Rękodzieła Ludowego w Warszawie, przedstawiający ptaka w locie ze stodoły na dach domu, mówili: „jakie to śmieszne" — że ptak był większy od stodoły na tym samym planie. A to nie dziwactwo, tylko w tego ptaka włożyłam swą duszę, a stodoła to tylko znaczenie i powiązanie przypadkowe i określające, żeby ten ptak nie zjawiał się znikąd. A nie miałam interesu lubowania się w tej stodole, bo w niej nie widziałam artystycznego celu. Jeśli chcę powiedzieć, że ktoś trzęsie jabłka dla Prezydenta, nie pokazuję jabłek spadających w tej wielkości, ale większej; koszyk dziewczynki, która niesie te jabłka, chociaż stawiam go na plan pierwszy jest tak duży omal jak jabłka, spadające na planie dalszym. Pielgrzymi w stosunku do postaci Matki Boskiej są malutcy; ona stanowi w ich oczach cel i potęgę zdolną do ziszczenia wszystkiego; oni poddają się marzeniu, o takiej proporcji. W tym widzę styl ludowy, ale nikt mnie nie zrozumie i muszę się dziś uczyć perspektywy na wzorze szkicu, jak dziecko.

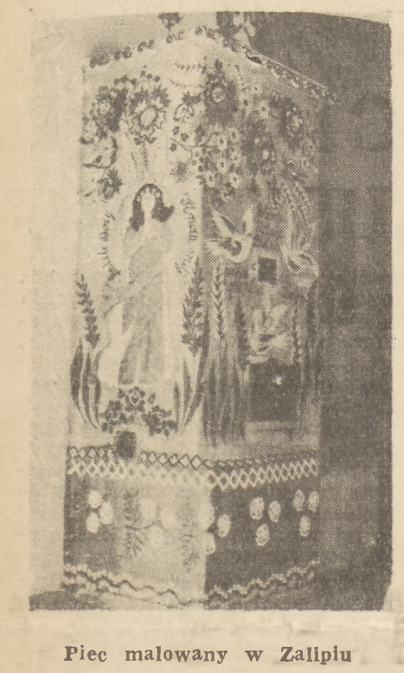

Piec malowany w Zalipiu

Któżby myślał, że po ukończeniu wystawy i rozdaniu nagród nastanie w Zalipiu spokój. Nic podobnego. Po pierwsze zrobił się szum w gazetach i zaczęli przyjeżdżać goście: byli np. panowie ze Szwajcarii i Węgier, rozdziawiali gęby, bardzo chwalili, a mnie chcieli zabrać na samochód alem się bała, że mogę gdzie ulec katastrofie, zresztą miałam coś innego na myśli, gdyż jeden z członków jury naszego konkursu spytał mnie czy chcę się uczyć. Po drugie, przyjechał powtórnie do Zalipia ob. Pokora Leon z kolegą Janem Stelmaszczykiem, obaj z Zarządu Głównego TUL-RP i założyli Klub Twórczości i Upowszechniania Kultury „Wieś tworząca". Bardzo nam się nazwa spodobała aleśmy się bały, bo nikt jeszcze z kobiet nie należał do organizacji, wreszcie zapisałyśmy się wszystkie, zrobiono nam zdjęcia, bo przyrzekłyśmy zrobić po kilka malowanek i wycinanek do albumu „Malowanka Dąbrowska i jej twórcy", co też wykonałyśmy bezinteresownie. Później przesłałyśmy swoje prace na projektowaną wystawę Sztuki Ludowej w Warszawie. Ponieważ zawadzały one ob. Pokorze, musiał doprowadzić do tego, że pomimo likwidacji TUL-RP wystawa ta odbyła się w miesiącu kwietniu b. r. w gmachu Politechniki Warszawskiej. Dostaliśmy zaproszenie Związku Samopomocy Chłopskiej i przyjechaliśmy 5-ro jako delegacja, gdyż teraz nie ma tego zwyczaju, by wystawę otwierać tylko dla inteligencji miejskiej.

Miałam za swoje, gdyż na otwarcie przybyło dużo ministrów i Marszałek Sejmu Władysław Kowalski, który zatrzymał się przede mną i powiedział, że należy wysłać mnie do szkoły i to wyższej: „A jak nie załatwią tej sprawy, to pisz do mnie". Wszyscy bardzo się mną interesowali, ale Marszałek najbardziej. Przed odjazdem On i Min. Dybowski przyjęli wszystkich delegatów, twórców ludowych obiadem w hotelu sejmowym.

Minister Podedworny zgłosił już nagrodę dla artysty ludowego, biorącego udział w wystawie w postaci stałego stypendium. Jury wystawy przyznało tę nagrodę dla mnie, poza tym otrzymałam komplet farb olejnych, jako dar Związku Zawodowego Artystów Plastyków. Szczęście zaczęło mi więc dopisywać z chwilą powstania Polski Ludowej i to nie głupio, tylko bardzo mądrze, ażebym rozwinęła swój talent i przyniosła coś społeczeństwu. Ja też bardzo się zacięłam i nabrałam takiej odwagi, że chociaż rodzice nic mi nie są w stanie pomóc, przyjechałam do Warszawy i suszyłam łeb ob. Pokorze, ażeby dotrzymał swej obietnicy. Złożyłam podanie do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, ale wszyscy się śmieli ze mnie i ja miałam słabą nadzieję zdania egzaminu. Ale cud się tam stał, bo teraz rządzi chłop i robotnik, a każdy profesor wie, że chłop odrobić ma zaniedbania i wziąć udział w tworzeniu nowej kultury polskiej.

Dziś już uczę się — i myślę, że dopądzę tych, którzy mieli matury, gdyż dużo słuchaczy lekceważy sobie profesorów i naukę, nie wie, że nauka o sztuce przestała być zabawką małej ilości bogaczy, ale stała się potrzebą mas pracujących, że jest sprawą bardzo ważną, dla której warto pracować. Gdyby tak być miało, że obrazy będą wisieć tylko w kościołach i muzeach, toby nie było może warto się dokładać do nauki, ale będzie tak jak w Zalipiu. Sztuka będzie tak potrzebna, jak chleb.

Twórczynie ludowe w naszej okolicy są zadowolone, gdyż otrzymały nagrody pieniężne i książkowe, ponadto mają otrzymać jako nagrodę ZSCh sumę 60.000 złotych na założenie świetlicy, oraz 20.000 złotych z Krakowa na ten sam cel. Za moim przykładem poszli inni. Mój brat Sławek oraz koleżanki jak np. Bogaczówna, Borkówna uczą się w Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Niektórzy ludoznawcy smucą się tym odpływem młodzieży, i mówią ze zginie sztuka ludowa. Ale nie jest to prawda, bo my idziemy gromadą i będziemy się z sobą kontaktować, a jak zdobędziemy wiedzę to w kulturze utrwalimy to co najlepsze z naszej kultury wsiowej, gdyż mamy ją w krwi i oczach współżyjąc z nią od dzieciństwa. Jeśli zaś — jak było nas troje i wszyscy malujemy, to i w naszej wsi twórców nie zbraknie. Tylko trzeba dalej iść tą drogą jaką już idzie Polska Ludowa.

Tak to, podając do druku życiorys zwykłej i prostej dziewczyny wiejskiej, można się dużo dowiedzieć o przemianach jakie zaszły, gdyż widać wyraźnie, że coś się zaczęło dziać dopiero wtedy, jak nastał ludowy rząd chłopsko-robotniczy. Tym sposobem wpadłam w sieć, która wyniosła mnie jak nic na studentkę, bez większego z mej strony bohaterstwa. *To wszystko mam zamiar wymalować. Chcę malować przemianę bo, rzeczą artysty jest widzieć i kształtować życie, jakie się wyzwala i powstaje.*

*Leokadia Kosieniak*

Leokadia Kosieniak — Pielgrzymi

M. KAMMARI

# STALIN O ROZKWICIE KULTUR NARODOWYCH II*)

Lenin uczył, że „celem socjalizmu jest, nie tylko zlikwidowanie rozczłonkowania ludzkości na drobne państwa i wszelkiego odosobnienia narodów, nie tylko zbliżenie narodów, ale także ich zlanie się". (Dzieła, t. 22, str. 135. Wyd. 4-te). Nie może to się jednak dokonać odrazu, w krótkim czasie, podkreślił Lenin. „Podobnie jak ludzkość może dojść do zlikwidowania klas tylko poprzez przejściowy okres dyktatury klasy uciskanej; tak i do nieuchronnego zlania się narodów ludzkość może dojść tylko poprzez przejściowy okres całkowitego oswobodzenia wszystkich uciskanych narodów, t.zn. ich wolności oderwania się" (j. w. str. 135 — 136).

Konkretyzując tę tezę po zwycięstwie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej odnośnie zagadnień taktyki partii komunistycznych, W. I. Lenin pisał „Dopóki istnieją narodowe i państwowe różnice między narodami i krajami — a różnice te będą się utrzymywały jeszcze bardzo, bardzo długo nawet po zrealizowaniu dyktatury proletariatu w skali światowej — jednolitość międzynarodowa taktyki komunistycznego ruchu robotniczego wszystkich krajów wymaga nie usunięcia zróżniczkowania, nie zlikwidowania różnic narodowych (jest to absurdalne marzenie w chwili obecnej), lecz takiego zastosowania podstawowych zasad komunizmu (władza radziecka i dyktatura proletariatu), które by prawidłowo (prawilno) przeobraziło postać tych zasad w szczegółach, prawidłowo przygotowywało i przystosowywało je do różnic narodowych i narodowo-państwowych (Dzieła, t. XXV. str. 22).

„Z tez powyższych wynika, wskazuje Stalin, że Lenin odnosi proces zamierania różnic narodowych i zlania się narodów nie do okresu zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju, ale wyłącznie do okresu po zrealizowaniu dyktatury proletariatu w skali światowej t. zn. do okresu zwycięstwa socjalizmu we wszystkich państwach, skoro zostaną już założone fundamenty światowej gospodarki socjalistycznej" (Dzieła, t. II str. 346). Próbę umieszczenia procesu zamierania różnic narodowych w okresie zwycięstwa socjalizmu w jednym państwie, Lenin kwalifikował jako „absurdalne marzenie".

Opierając się na tych wskazaniach W. I. Lenina, tow. Stalin w swojej pracy „Kwestia narodowa a leninizm", jak również w szeregu innych prac, a szczególnie w swoim referacie sprawozdawczym i reasumcji na XVI Zjeździe K. C. W. K. P.(b), demaskuje szowinistyczne teorie o możliwości zamierania różnic narodowych i języków narodowych w okresie zwycięstwa socjalizmu w jednym państwie, dowodząc, że wręcz przeciwnie w tym okresie następuje konsolidacja, rozwój i całkowity rozkwit narodów i kultur narodowych, ale na narodowych podstawach historycznych, na zasadzie dyktatury proletariatu, radzieckiego ustroju socjalistycznego.

Rozwijając dalej tezy Lenina, Stalin poucza: „Niesłuszny byłby sąd, że zlikwidowanie różnic narodowych i zamieranie języków narodowych nastąpi odrazu po pokonaniu imperializmu światowego, za jednym uderzeniem, w trybie odgórnych dekretów. Nie ma nic bardziej błędnego niż taki pogląd. Próby, zmierzające do zlania się narodów drogą wydawania odgórnych dekretów, drogą przymusu oznaczałyby poparcie imperialistów, zagubienie sprawy oswobodzenia narodów, pogrzebanie sprawy organizacji współpracy i braterstwa narodów. Taka polityka byłaby równa polityce asymilacji". (Dzieła, t. II, str. 347).

Tow. Stalin podkreśla, że „polityka asymilacji zostaje bezwarunkowo wyrzucona z arsenału marksizmu — leninizmu, jako polityka antyludowa, kontrrewolucyjna, jako polityka szkodliwa" (j.w.).

Polityka asymilacji jest to polityka wchłonięcia przemocą jednego narodu przez drugi, polityka stłumienia swobodnego rozwoju narodów, języków i kultur narodowych.

Jest to polityka burżuazyjno-nacjonalistyczna, imperialistyczna, nawskroś reakcyjna. Jest to polityka imperialistów USA, Anglii i innych państw.

Tow. Stalin wskazuje, że polityka asymilacji, jako antyludowa i kontrrewolucyjna, skazana jest w końcu na nieuchronną klęskę i krach, gdyż „wiadomo, że narody i języki narodowe wyróżniają się nadzwyczajną trwałością i kolosalną siłą przeciwstawiania się polityce asymilacji". (Dzieła t. II, str. 347).

Dowodzą tego niezbicie fakty historyczne. Tak na przykład, tureccy asymilatorzy „najokrutniejsi ze wszystkich asymilatorów" setki lat męczyli i dławili bałkańskie narody, nie osiągnęli jednak swego celu — zniszczenia narodów bałkańskich, ponieśli klęskę, zostali zmuszeni do kapitulacji. Carscy asymilatorzy i niemiecko-pruscy i austriaccy germanizatorzy nie ustępujący im w okrucieństwie, ponad sto lat rozcinali na części naród polski, persy i tureccy asymilatorzy setki lat krajali na kawałki, męczyli i niszczyli naród ormiański i gruziński — także jednak nie osiągnęli swego celu. Anglo-amerykańscy asymilatorzy, którzy w ciągu setek lat uciskali i gnębili dziesiątki i setki plemion, narodów i narodowości Azji, Afryki, Australii i Ameryki, również poniosą klęskę i będą zmuszeni do kapitulacji przed jednolitym frontem wszystkich miłujących wolność narodów, podejmujących walkę o wolność i niezawisłość.

Tow. Stalin uczy partie komunistyczne, że należy wziąć pod uwagę te wszystkie okoliczności, „aby prawidłowo przewidzieć bieg wypadków z punktu widzenia rozwoju narodów bezpośrednio po pokonaniu imperializmu światowego" (Dzieła, t. II, str. 348).

Biorąc pod uwagę te okoliczności i doświadczenie rozwiązania kwestii narodowej w ZSRR, tow. Stalin wysuwa następujące wnioski. „Błędne byłoby rozumowanie, że pierwszy etap światowej fazy dyktatury proletariatu będzie początkiem zamierania narodów, języków narodowych, początkiem tworzenia się jednolitego wspólnego języka. Naodwrót, pierwszy etap, w czasie którego zostanie ostatecznie zlikwidowany ucisk narodowy, stanie się etapem wzrostu i rozkwitu dawniej uciskanych narodów i języków narodowych, etapem ugruntowania równouprawnienia narodów, etapem likwidacji wzajemnej nieufności narodowej, etapem wprowadzenia i wzmocnienia internacjonalistycznych więzów między narodami.

Dopiero na drugim etapie światowej fazy dyktatury proletariatu, w miarę tworzenia się jednolitej, światowej gospodarki socjalistycznej na miejsce światowej gospodarki kapitalistycznej, — dopiero na tym etapie zacznie się kształtować coś w rodzaju wspólnego języka, tylko na tym etapie narody odczują konieczność posiadania wspólnego, międzynarodowego języka równolegle z ich językami narodowymi, w celu udogodnienia stosunków i współpracy ekonomicznej, kulturalnej i politycznej. A więc na tym etapie języki narodowe i wspólny język międzynarodowy, będą istniały równolegle...

W następnym etapie okresu światowej dyktatury proletariatu, gdy światowy system socjalistyczny wzmocni się w dostatecznym stopniu i socjalizm wejdzie w byt narodów, kiedy narody przekonają się w praktyce o przewadze wspólnego języka w porównaniu z językami narodowymi — różnice i języki narodowe zaczną zanikać, ustępując miejsca wspólnemu dla wszystkich językowi światowemu" (Dzieła, t. II, str. 348—349).

W tych wytycznych tow. Stalina odsłonięta jest przyszłość narodów i języków narodowych po zwycięstwie komunizmu na całym świecie, niesłychanie jasno nakreślona została perspektywa rozwoju narodów socjalistycznych.

Jest zupełnie oczywiste, że tezy tow. Stalina posiadają ważne, decydujące znaczenie dla wszystkich nauk społecznych, dla filozofii, nauki o państwie, prawie, języku, teorii, literatury, sztuki, kultury i dla praktycznej działalności partii komunistycznych we wszystkich krajach świata.

W sprawozdaniu politycznym Komitetu Centralnego na XVI Zjeździe WKP(b) tow. Stalin ostro i całkowicie skrytykował szowinistyczne teorie Kautsky'ego w kwestii zanikania narodów, języków narodowych i kultur, zdemaskował teorie odchyleńców w kierunku wielkomocarstwowego szowinizmu, którzy wpadli w ręce Kautsky'zmu i dążyli w istocie rzeczy do likwidacji narodowych republik radzieckich, narodowych języków i kultur.

Demaskując te nacjonalistyczne teorie tow. Stalin wykazał, że w okresie socjalizmu narody nie tylko nie zamierają ale wręcz przeciwnie, rozwijają się i rozkwitają. Okres budownictwa socjalizmu w ZSRR (a w następstwie i w państwach demokracji ludowej) jest „okresem rozkwitu narodowych kultur socjalistycznych w treści i narodowych w formie".

Stalin mówił, że zacofane narodowości można włączyć do sprawy budownictwa socjalistycznego w sposób należyty tylko poprzez rozwój kultury narodowej, w formie i socjalistycznej w treści.

Wyrzeczenie się tego oznaczałoby pozostawienie narodów i ludów w duchowej, politycznej i ekonomicznej niewoli reakcyjnych klas wyzyskiwaczy.

„Należy umożliwić rozwój kultur narodowych, wyzwalając cały potencjał, aby stworzyć warunki dla zlania się ich w jedną wspólną kulturę z jedynym wspólnym językiem.

Dialektyka leninowskiego ujęcia zagadnienia kultury narodowej polega na tym, że w warunkach dyktatury proletariatu w jednym kraju powinien nastąpić rozkwit kultur narodowych w formie i socjalistycznych w treści w celu zlania się ich w jedną wspólną socjalistyczną (w formie i treści) kulturę z jednym wspólnym językiem w okresie gdy proletariat zwycięży na całym świecie i socjalizm zostanie ugruntowany". (J. Stalin „Zagadnienia leninizmu", str. 426 — 427, wydanie 10-te).

Stalin podkreśla przy tym, że wspólnym językiem dla całej ludzkości po zwycięstwie komunizmu na całym świecie będzie nie jakikolwiek z języków współczesnych, a język nowy, który powstanie w procesie zlania się istniejących współczesnych języków w jeden wspólny język, w wyniku *długiego* obcowania narodów na bazie jednolitej światowej gospodarki komunistycznej.

Demaskując lokalny nacjonalizm i odchylenie w jego stronę wewnątrz partii, J. Stalin wskazywał, że istota takiego odchylenia polega na dążeniu do oddzielenia się i zamknięcia w ramach swojej narodowej skorupy, na dążeniu do zatuszowania przeciwieństw klasowych wewnątrz swego narodu, na dążeniu do oderwania swego narodu od ogólnego nurtu budownictwa socjalistycznego, „na dążeniu do ignorowania tego, co zbliża i łączy masy pracujące narodów ZSRR, i do zwracania uwagi tylko na to, co może je oddalić wzajemnie od siebie".

Partia Lenina — Stalina prowadziła i prowadzi bezlitosną walkę z burżuazyjnym nacjonalizmem wszelkiego autoramentu, jako narzędziem imperialistycznej reakcji, wychowuje masy w duchu proletariackiego internacjonalizmu, przyjaźni narodów, solidarności mas pracujących wszystkich narodowości w walce o komunizm.

Uwzględniając doświadczenie W. K. P. (b), a także doświadczenie walki rewolucyjnej w swoich krajach, bratnie partie komunistyczne wzmacniają czujność mas w stosunku do burżuazyjnego nacjonalizmu, wychowują masy pracujące w duchu proletariackiego internacjonalizmu, w duchu ścisłego zespolenia i solidarności narodów wszystkich krajów wokół narodów ZSRR.

W. I. Lenin jeszcze w 1920 r. wskazywał, że „nie wolno w obecnej chwili ograniczać się do samego uznania lub głoszenia zbliżenia mas pracujących rozmaitych narodowości, ale należy prowadzić politykę zrealizowania najściślejszego sojuszu wszelkich kolonialnych narodowo-wyzwoleńczych ruchów z Rosją Radziecką, określając formy takiego sojuszu zgodnie ze stopniem rozwoju komu-

(dokończenie na str. 3)

*) Bolszewik, Nr 6 (Skrót), patrz „Wieś", Nr 44.

STANISŁAW ARNOLD

# LENIN W WALCE O PARTIĘ

Budując podstawy Polski socjalistycznej korzystamy z wieloletnich doświadczeń Związku Radzieckiego, z genialnych wskazań wodzów narodu radzieckiego, a jednocześnie wodzów rewolucyjnego ruchu robotniczego na kuli ziemskiej — Lenina i Stalina. I pod tym względem nie ulega żadnej wątpliwości, że należy podkreślić jeszcze — i jeszcze raz — olbrzymie znaczenie, jakie dla umocnienia i pogłębienia w naszym społeczeństwie ideologii socjalistycznej opartej na założeniach marksizmu-leninizmu, rękojmi skutecznej budowy Polski socjalistycznej — stanowi lektura krótkiego zarysu „Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)".

Jest to książka — której nie wystarczy przeczytać raz jeden. Wracać do niej trzeba stale, przy każdym nasuwającym się zagadnieniu zarówno teraźniejszości, jak i przeszłości, obejmującej już więcej niż stulecie rozwoju ruchu robotniczego i walki z kapitalizmem w Europie, a więcej niż półstulecia rozwoju ruchu robotniczego na ziemiach polskich. Jest to książka, która w przedziwnie subtelny sposób łączy metodę badania historycznego, opartego na założeniach materializmu historycznego z gruntowaniem u czytelnika zasadniczych założeń tegoż materializmu, pojmowaniem procesu historycznego, poznawaniem drogi, jaką należało przebyć, aby osiągnąć jedyne w historii zwycięstwo — zwycięstwo socjalistycznej Rewolucji Październikowej, zwycięstwo ukształtowanego po r. 1917 ustroju socjalistycznego.

Nie chcę tu — rzecz jasna — pisać o samej książce, „recenzje" są jej niepotrzebne. Chcę wskazać tylko na parę momentów, które łączą się z metodą ujęcia i rozpracowywania materiału — a wiążą się bezpośrednio z drogą, po której szedł robotniczy ruch rewolucyjny w Rosji.

Ten ruch powstał przed r. 1917 w związku z rozwijającym się kapitalizmem — i nie wykazywał niektórych różnic w stosunku do innych krajów, pomijając kwestię pewnych różnic w rozwoju samego kapitalizmu w Rosji w porównaniu z innymi krajami. Tak — było pewną różnicą, że mianowicie ten ruch osiągnął to, czego nie udało się zrobić klasie robotniczej w żadnym innym kraju: osiągnął zwycięstwo rewolucyjne, obalił u siebie kapitalizm, stworzył socjalizm. Ten wynik był rezultatem zasadniczej postawy, jaką zajęła klasa robotnicza w Rosji, mianowicie podstawy zdecydowanie i konsekwentnie marksistowskiej, wprowadzonej i utrzymanej przez genialne kierownictwo i niespożycie twardą wolę Lenina i jego najbliższych współpracowników.

Gdy czytamy pierwsze rozdziały „Historii W.K.P.(b)" — problem ten występuje od razu z całą wyrazistością — wiąże się z pierwszymi wystąpieniami Lenina. Żywiołowy ruch robotniczy w latach 80-ych nie ma kierownictwa ideologicznego, nie opiera się na zasadniczych zdobyczach Marksa i Engelsa. Marksizm nie mógł się rozwijać w warunkach dominujących, a błędnych poglądów narodników, nie rozumiejących toku procesów historycznych, nie mógł także uzyskać należytej roli rewolucyjnej, gdy znaczna część ówczesnych marksistów rosyjskich stała na gruncie izolacji rewolucyjnej proletariatu, nie uznając możliwości sojuszu z olbrzymimi masami chłopstwa, dopuszczając raczej sojusz z liberalną burżuazją. I tu zaczęła się walka Lenina o właściwe podstawy dla robotniczego ruchu rewolucyjnego w Rosji — walka trwająca aż do samej rewolucji. Pierwsze wystąpienia Lenina rozbiły podstawę „narodników", dalsze — miały na celu organizowanie ruchu robotniczego przez stworzenie partii nowego typu — partii marksistowskiej, zwalczającej rewizjonistyczne wpływy „ekonomistów", nie uznających roli kierowniczej, świadomej ideologii marksistowskiej w ruchu robotniczym.

Od I Zjazdu Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej Rosji Lenin walczy o stworzenie jej programu i należytej organizacji nowej partii. Jej podstawy ideologiczne dał w słynnej książce „Co robić", wydanej w roku 1902, stwierdzając, że „bez rewolucyjnej teorii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny", zaś „rolę przodującego bojownika może wypełnić jedynie partia, kierowana przez przodującą teorię".

Na tle wysuwanych przez Lenina haseł programowych wystąpiły już w r. 1903 (na II Zjeździe S.D.P.R.R.) różnice między nim a grupami „ekonomistów" i oportunistów zwanych odtąd mieńszewikami (w przeciwstawieniu do zwolenników Lenina — bolszewików). Pod względem organizacyjnym podstawy nowej partii przedstawił Lenin (rozprawiając się ze swymi mienszewickimi przeciwnikami) w broszurce p.t. „Krok naprzód, dwa kroki wstecz", w której uzasadnił, że partia marksistowska jest oddziałem czołowym, świadomym klasy robotniczej — i dlatego musi być oddziałem zorganizowanym, kierowniczym. W walce o te założenia Lenin nie ustępował ani na krok swym przeciwnikom — i zakończył je w r. 1912, kiedy na konferencji w Pradze powstała Socjal-Demokratyczna Partia Robotnicza (bolszewików) Rosji z Leninem, Stalinem, Swierdłowem i innymi na czele.

Przygotowaniem partii pod względem politycznym była książka: „Dwie taktyki socjal-demokracji w wolucji demokratycznej", wydana w lipcu 1905 r., a więc w czasie rewolucji, w której Lenin wykazywał różnicę między rewolucją burżuazyjną a rewolucją socjalistyczną, formułował zasady taktyki marksistowskiej w okresie przejścia od rewolucji burżuazyjnej do rewolucji socjalistycznej. Podstawową myślą Lenina było to, że proletariat może i powinien być wodzem rewolucji burżuazyjno-demokratycznej — i że może osiągnąć zwycięstwo, mając sojusznika w klasie zainteresowanej w zwycięstwie rewolucji, mianowicie w chłopstwie. Według tej teorii hegemonia proletariatu w rewolucji burżuazyjnej przy istnieniu sojuszu proletariatu i chłopstwa powinna była przerosnąć w hegemonię proletariatu w rewolucji socjalistycznej przy istnieniu sojuszu proletariatu i pozostałych mas pracujących i wyzyskiwanych, a demokratyczna dyktatura proletariatu i chłopstwa powinna była przygotować grunt dla socjalistycznej dyktatury proletariatu.

Jak wiadomo — ta teoria znalazła swe pełne zastosowanie po rewolucji lutowej z 1917 r. i doprowadziła do całkowitego triumfu.

Wreszcie — przygotowaniem nowej partii pod względem teoretycznym była praca Lenina p.t.: „Materializm i empiriokrytycyzm", wydana w roku 1909, rozprawiająca się z „krytykami" filozoficzno-teoretycznych podstaw marksizmu — i utrwalająca założenie materializmu dialektycznego i historycznego, jako teoretycznych podstaw partii marksistowskiej.

Na gruncie tych podstaw organizowała się partia marksistowska w Rosji, na gruncie tych zasad kierowała ruchem klasy robotniczej w przeddzień rewolucji 1905, w czasie samej rewolucji i potem, w okresie reakcji stołypinowskiej. Wybuch wojny imperialistycznej w r. 1914 wykazał, że tylko partia bolszewików, kierowana przez Lenina, zajmowała jedynie konsekwentne, marksistowskie stanowisko, gdy inne partie socjal-demokratyczne (zorganizowane w II Międzynarodówce) poszły za burżuazją innych krajów. W toku wojny w r. 1916 Lenin wydał pracę: „Imperializm, jako najwyższe stadium kapitalizmu", w której stojąc na gruncie marksizmu, rozwinął jego teorię na okres imperializmu, stworzył podstawy leninizmu, jako teorii i praktyki robotniczego ruchu rewolucyjnego w okresie imperializmu. Najważniejszym wynikiem rozważań Lenina było to, że imperializm — to przeddzień socjalnej rewolucji proletariatu — i dalej genialny wniosek, że ze względu na nierówność rozwoju kapitalizmu w różnych krajach, jest niemożliwe zwycięstwo socjalizmu jednocześnie we wszystkich krajach, że socjalizm musi zwyciężyć najpierw w jednym lub kilku krajach, pozostałe zaś przez pewien czas jeszcze pozostaną burżuazyjnymi.

Ta nowa wykończona teoria rewolucji socjalistycznej stała się programem działania partii bolszewików w r. 1917 i dała jej zwycięstwo. A dziś obalone zostały podstawy ustroju kapitalistycznego w wielu krajach Europy i Azji — partie robotnicze tych krajów, stojąc twardo na gruncie marksizmu budują podstawy socjalizmu. Jakaż wielka jest droga odbyta od ostatnich lat w XIX wieku — zaczątku partii Lenina, Stalina w Rosji — do dzisiejszej chwili.

*Stanisław Arnold*

JERZY K. MACIEJEWSKI

# WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

Antosia ma szeroką twarz z cokolwiek kaczym nosem, jest krępa, ma mocne nogi i pracowite ręce. Na wesele swego brata, Stefana, przybyła na księżacką wieś z kopalni węgla na Dolnym Śląsku. Do dziś ma posiniaczone ręce, przed wyjazdem bowiem zdarzył się jej przykry wypadek: w zastępstwie chorej koleżanki przydzielono ją do wyjmowania numerków z naładowanych węglem wózków, wyjeżdżających na powierzchnię. Praca ta wymaga wielkiej uwagi i zręczności, gdyż wózki nie czekają. Tymczasem Antosia zamyśliła się o weselu, człowiek na zwrotnicy zagapił się i wózek o mały włos nie zmiażdżył Antosinej dłoni. Dostała trzy dni zwolnienia i — poniekąd dobrze się złożyło, bo mogła wyjechać do domu.

Antosia i jej siostra, Michasia, biegają teraz jak wrzeciona między „piecem", czyli kuchnią w niewielkiej budzie pośród podwórza, a stodołą, gdzie pracują obecnie rzeźnicy i chałupą, gdzie już jest trochę gości, w tej liczbie kilka osób z miasta.

Goście z miasta, to znajomi z Warszawy i krewniacy z Pomorza. Trzeba o nich pamiętać, gościć ich, by się nie nudzili i nie byli głodni. Jest niedzielne, późne popołudnie, jutro rano ślub, o godzinie szóstej już przyjeżdżają muzykanci, a tu stercz, choć ziemia po prostu pali się Antosi pod nogami. Stoi w drzwiach i, myśląc o oczekującej ją robocie, jednym uchem przysłuchuje się rozmowie gości. Bierze w niej udział także wujek z Aleksandrowa pod Łodzią i chrzestny z tej samej wsi, co Antosia. Chrzestny podpił sobie trochę, zwiesił nad stołem długi nos i ubolewa nad zanikaniem stroju i obyczaju wśród Księżaków.

— Antośka! Anto-siaaa!

Wzywano ją do stodoły, gdzie dwóch rzeźników przy pomocy brata Antosi, Czesława, parało się przerabianiem na wędliny, czyli jak tu się mówi „na wyrób", dwóch wieprzy i dużego cielaka. Rodzina młodych liczyła się z przybyciem co najmniej półtorej setki gości, a to nie są przelewki. Ogólnie praktykuje się, że trzeba samej kiełbasy przygotować na głowę pół kilograma i jeden litr „czystej" na cztery osoby.

Mężczyźni żądali od Antosi światła, gdyż już zapadał zmierzch, uniemożliwiający pracę. Przyniosła im naftową lampę, słabe jednak jej światło było niewystarczające.

— Kabel, przynieście kabel — posłyszała.

Stefan zakrzątnął się i po chwili przyniósł duży zwój kabla. Włączyli go do sieci sąsiadów, wkręcili silną żarówkę i po chwili silne światło zalało całą stodołę. To podłączanie przy takich okazjach, jak wesele, chrzciny, czy zabawa taneczna, do sieci jest tu we wsi ogólnie praktykowane i nikt tego nie uważa za nadużycie.

Rzeźnicy odetchnęli z ulgą i raźniej zabrali się do pracy.

Gość z Warszawy, stojąc przed stodołą, ćmił papierosa i patrzał, jak mała, trzyletnia dziewczynka z cukierkiem w buzi, brnęła przez wielką kałużę przed wierzejami. Podniósł ją ostrożnie, nie bacząc na wielki wrzask.

Antosia przerwała na chwilę swój zadyszany bieg. Zwierzała się gościowi półgłosem:

— Wszystko jest strasznie spóźnione. Te wyroby powinny były być od paru dni gotowe, ale z tym rzeźnikiem z Kiernozi, który miał się tym zająć, wyszła nieprzyjemna historia... Chciał na zezwolenie Stefana zaszlachtować wieprzka i wyrób sprzedać „na lewo", ale doniosła na niego jakaś kobieta, której kiedyś nie chciał sprzedać słoniny, i teraz — siedzi. Wszystko mięso mu zabrali i rozsprzedali w Łowiczu...

Goście z Warszawy dopytywali, czy przechowały się we wsi jakie stare zwyczaje, związane z obrzędem weselnym? Na przykład tzw. dziewiczy wieczór? Antosia w odpowiedzi parsknęła śmiechem.

— Nie, nie słyszałam o czymś takim. Ale idźcie, państwo, do domu młodej, popatrzcie.

Młoda gospodaruje razem z matką, siostrą i szwagrem. Młoda nie jest już pierwszej młodości i chciałaby wreszcie być na swoim. Ale w ostatnich dniach tyle jest pracy, że nie ma czasu nawet pomyśleć o tym. Kiedy goście z miasta weszli do izby, wypełniona była sąsiadkami i krewnymi, pomagającymi w przygotowaniach przedweselnych. Matka młodej wraz z dwiema kobietami gotowała makaron. W rogu kuchni, na bitej z gliny podłodze stał ceber, wypełniony oskubanymi już kurami, przeznaczonymi na weselny rosół. W sąsiedniej izbie parę kobiet wałkowało ciasto, podczas gdy inne pośpiesznie krajały makaron. Całe sterty makaronu. Ostre noże odstukiwały milimetr po milimetrze ciasta, zsuwanego na bok i zabieranego przez kobietę, krążącą z sitem do przenoszenia makaronu.

Było już późno. Młoda przykucnęła na skraju łóżka, wypełnionego pierzynami i śpiącymi dziećmi. Oczy jej kleiły się. Ziewała szeroko.

— Jasiu — zawołała do niej jedna z kobiet — idź spać, wypocznij, muzyka jutro przyjeżdża już o szóstej rano!

— Idź spać, Jaśka! — odezwała się druga — bo jutro ci Stefan spać nie da!

Wszystkie, z wyjątkiem młodej, roześmiały się hałaśliwie. Ona zaś stanąwszy obok łóżka i zasłonięta przez jedną z kobiet, powoli zewłóczyła z siebie przyodziewek. Zerknąwszy szybko, czy gość z Warszawy nie patrzy, wciągnęła na się nocną koszulę i szybko dała nura pod pierzynę. Ach ,co za rozkosz móc wreszcie wyciągnąć się w łóżku! I pocóż, i dla kogo tyle, tyle pracy? Zwyczaj... Trzeba nakarmić i napoić te dziesiątki gości. Inaczej nie można. Wzięliby ją na języki, że dziadówka...

Pomyślała o Michasi. Cóż brak dziewczynie? I młoda jeszcze, i ładna, a przecież wesele, które się na jesieni kroiło, nie dojdzie do skutku, bo wiano, które mu miała wnieść, rodzina jego uznała za małe. Nie wystarczy na spłatę rodzeństwa. Więc choć Murczak do Michasi chodził ze trzy roki — z weseliska będą „nici"...

Myśli młodej zaczynały się już plątać. Zasypiała. Ale dostrzegła jeszcze, że do izby wpadła Antosia, która oderwała się od własnej roboty, by pomóc młodej. Tak wypadało.

Kiedy gość ze stolicy wyszedł na dwór, gwiazdy ledwie przeciekały przez coraz gęstniejącą mgłę. Żebyż tylko jutro była pogoda — pomyślał.

Na dziedzińcu u Stefana jarzył się niewielki ogień. Wierzeje stodoły nadal były otwarte. Rzeźnicy zajęci byli fabrykowaniem krwawej kiszki i salcesonów.

W płytkim dołku, wygrzebanym pod niewielkim otworem, płonęły leniwie kawałki dębiny, którą poprawiał niekiedy jeden z rzeźników. Pachniało cierpkim dymem z świeżo wędzoną wędliną. Jakaś kobieta nabierała wiadrem z parnika, gdzie było gotowane mięso, rosół. Życie w obu zagrodach, mimo, że dochodziła północ, nie zamierało.

Goście z miasta spali w stodole. Siano pachniało odurzająco i pełne było drobnych szelestów. Przez szczeliny w ścianach, z desek zbijanych, mżyły gwiazdy. Chrobotał na łańcuchu, ujadał pies...

✤

W samej rzeczy już o szóstej rano do stodoły wpadła Antosia z okrzykiem, że muzykanci już przyjechali.

— Bębenek, skrzypce i akordeon! Ale chłopaki tak zmęczone, że zaraz uwaliły się spać!

Goście, ziewając, wstawali i szukali miejsca, gdzie by można dokonać porannej toalety. Antosia ustawiła na podwórzu dużą cieknącą miednicę, wyniosła lniany ręcznik i kawałek pachnącego mydła. Kobiety były skrępowane koniecznością mycia się publicznie, mężczyźni mieli trudności z goleniem się. Szczęściem domownicy, zajęci swoimi sprawami, mało na nich zwracali uwagi.

W oczekiwaniu na śniadanie, gość z Warszawy wyszedł na wiejską ulicę. Była to bita, porządnie utrzymana wysadzona topolami droga. Ścieżka między chałupami młodych była świeżo wysypana żółtym piaskiem. Błoto przed domem młodej było zasypane również. Po przeciwległej stronie drogi, w rzadkim sadzie kilku parobczaków układało podłogę do tańca. Zawadzające im młode wisienki i dolne gałęzie jabłonki przycięli.

— Uważaj, nie dziabaj! — wołała przyglądająca się temu mała dziewczynka.—Dziabiesz i dziabiesz, wszystkie gałęzie poobcinasz!

— Podłóż, Franek — odezwał się jeden z braci młodego, Michał — jakiś kamień pod środek, bo pochyło. Ludzie pospadają w tańcu.

Na ulicy pokazała się młoda, dźwigając wielką bańkę od mleka. Była ubrana po roboczemu i miała pochmurną, zaaferowaną twarz. Wyglądała staro. Myślała co będzie, jeżeli mgła nie pójdzie w górę i zacznie padać deszcz. Gdzie pomieścić tę chmarę gości, która za chwilę zacznie się zjeżdżać? Mgła na świecie — smutek na sercu. Wczoraj wieczorem, gdy zaczął pokropywać deszcz, chrzestna powiedziała:

— Takie to i życie wasze będzie: trochę pogody i trochę łez.

Ona się roześmiała i nadrabiając miną, rzekła:

— A ja sobie tak myślę: jak Stefan będzie płakał — będę się starała go pocieszyć, śmiejąc się. I odwrotnie...

Wreszcie pokazali się muzykanci, a już i zajechała pierwsza bryczka, wyładowana weselnymi gośćmi. Muzyka zagrała marsza i gospodarz, wysiadając z bryczki, szedł ku muzykantom, wtykając jednemu z nich w kieszeń napiwek.

Młody prosił gości, przybywających z dalszej okolicy (niektórzy nawet spod Głowna) oraz gości z miasta do stołu na pierwsze śniadanie. Tymczasem młoda przy pomocy druhen przebierała się w strój łowicki — pyszny, dostatni i barwny. Jedynie zresztą kobiety, i to nie wszystkie, były ustrojone na księżacką modłę. Ich pasiaki mieniły się całą gamą kolorów. Ale i tu obowiązywała moda. Barwa pomarańczowa w pasiakach występowała jedynie u starych kobiet. Żadna z dziewcząt nie włożyłaby na siebie takiej kiecki w obawie przed wyśmianiem. Obecnie przeważała jasna zieleń, biel i fiolet. Gorsety miały z czarnego aksamitu, suto haftowane, podobnie jak i dolny brzeg fartucha. Także i fartuch przecinał szeroki pas naszywanych szychowych świecidełek. Na szyi nosiły korale, głowę zdobiła cienka wełniana, w barwne kwiaty chustka. Kiedy stały tak przed chatą — kolorowe i puszyste — podobne były do gromadki egzotycznych ptaków, lub do kępy różnobarwnych malw, wyglądających spoza sztachet ogródka.

Mężczyźni natomiast byli z miejska odziani i szarzy jak wróble. Zaledwie paru, najstarszych, miało na sobie księżackie, krągłe a niskie kapelusze, spodnie zaś i lejbiki w pasy.

Jeden z nich, imieniem Hilary, weteran wojny rosyjsko-japońskiej, wyliczał gościowi z Warszawy ile jeszcze takich księżackich strojów kołacze się we wsi, a szkoda — powiadał — bo tu przyjeżdżają różne takie z Warszawy i za wypożyczenie można wcale dobrze zarobić...

Wreszcie młoda była ustrojona i w welonie, gotowa do wyjścia. Młody w towarzystwie starszego drużby i dziewosłęba przybył do jej chaty. Stąd miał ją wyprowadzić na nową drogę życia. W zatłoczonej izbie stali po środku, płacząc oboje. Wiele kobiet popłakiwało również, ten zaś ów mężczyzna częstotliwie poruszał powiekami...

Przed chatą ustawiono stolik, na nim krucyfiks, kropidło i święconą wodę. Młodzi stanęli przed matką, nisko chyląc czoła, by ukryć zapłakane oczy. Michasia, która była starszą druhną przy pomocy swego drużby w najostatniejszej chwili wyciągała z koliska obecnych tych, którzy mieli być drużbami. Powstało krótkotrwałe zamieszanie, po czym wystąpił starszy drużba i wcale gładko wygłosił krótkie, okolicznościowe przemówienie.

Wnet też zaczęły się przyśpiewki. Zdumiewał brak słuchu u kobiet, intonujących te przyśpiewki. Były to raczej jakieś krzykliwe zawodzenia, mające pewne wspólne cechy ze śpiewami na stypie pogrzebowej. Młoda zresztą bynajmniej nie wyglądała na rozradowaną. Oczy miała podpuchnięte od płaczu.

Najbardziej jednak przejmującą była chwila, kiedy tuż przed daniem znaku do wsiadania na bryczki, jedna ze starszych kobiet zaśpiewała przenikliwym głosem:

„Już niedługo, niedługo pójdziecie
przed ołtarz,
a nie zapomnijcie po drodze
wstąpić do ojców na cmentarz!"

Oboje bowiem młodzi byli półsierotami.

Bryczka po bryczce zajeżdżały przed chatę i obładowane do granic możliwości ruszały w drogę do kościoła w Złakowie. Dzień był pogodny, ciepły. Po ostatnich deszczach kto żyw wyruszył w pole na podorywki i siejbę. Antosia, jadąca na jednej bryczce z gośćmi z Warszawy, powiedziała półgłosem, wskazując na młodego:

— On z pewnością żałuje, że zamiast iść do siana, marnuje dzień na to weselisko! Gospodarz z niego dobry.

Ludzie we wsi wychodzili przed chaty, przyglądając się korowodowi weselnemu. Na polu przystawali, zaprzestając roboty i długo patrzyli wślad.

Tu i ówdzie kopano kartofle. Paliła się sucha nacina. Ku niebu cienką strużką wił się błękitny dym. W nozdrza bił przenikliwy zapach. Gdzie niegdzie kartoflisko było już zwłóczone. Pomiędzy spulchnioną ziemią bielała wielka ilość pozostawionych ziemniaków. We wsi coraz powszechniej zamiast motyki stosowano rodzaj pługa do kopania kartofli, jeżeli jednak były nieco głębiej, zostawało ich bardzo wiele w ziemi. Nikt nie kwapił się z ich wyzbieraniem.

✤

Ślub był uroczysty. Kościół był rzęsiście oświetlony, ksiądz odprawił mszę św. Wprawione w ruch zepsute organy, zanim wydały pierwszy ton, zgrzytały, sapały i warczały jak silnik starego samochodu.

Kiedy panna młoda klęczała przed ołtarzem, płomyk trzymanej przez nią świecy migotał słabo poprzez welon w trójkącie, utworzonym przez jej głowę i ramię.

Gdy bryczki zajechały przed chałupę młodej, czekała już tam jej matka i niektórzy familianci. Witano młodych, podając młodej bochen chleba, młodemu zaś dziecię w powijakach. Przyjął je z zakłopotanym uśmiechem.

Na „deskach" w ogrodzie odezwała się muzyka i co młodsi puścili się w tany. W pierwszej parze — młodzi. Co starsi gospodarze posiadali na skraju przydrożnego rowu, podczas gdy kobiety jak gile obsiadły ustawione obok desek czyli podłogi ławki.

Matka młodego pozostawała zarówno od zabawy, jak i od przygotowań weselnych na stronie. Oficjalnie tłumaczono ją, że na krzątanie się i zabawę nie pozwala jej tusza i wiek podeszły. Ona sama nieprzeniknionym wyrazem twarzy nie zdradzała swoich uczuć, owszem, podkreślała, że dzieci ma już dorosłe, które wiedzą co czynią, ale w tej abstynencji wyczuwało się dezaprobatę synowskiego wyboru. Niechętnie opuszczała granice swego podwórza i u młodej pokazała się tylko na tak długo, by ją tam dostrzeżono że była.

Gdy na jednej stronie drogi tańczono, po drugiej między chatą a stodołą trwała nieustanna bieganina. W stodole, na oścież otwartej, nakrywano ustawione w podkowę stoły, ściągając od wszystkich krewniaków i sąsiadów szkło i nakrycia stołowe.

Szwagier młodej, wysoki, czarny i szczupły mężczyzna, niosąc w obu rękach kopiaste talerze, wypełnione wędliną, obliczał w duchu, czy jadła i napitku starczy, aby Boże broń, ludzie nie powiedzieli potem, że na wesele skąpiono.

Domownicy prosili gości do stołu. Miejscowi, lepiej się orientujący w warunkach pomieszczenia, hurmem ruszyli do stodoły, która po chwili podobna była do ula na wyroju. Kiedy goście z miasta z ociąganiem zbliżyli się wreszcie do stołów, zdawało się, że nie było gdzie wetknąć szpilki. Powstało zamieszanie. „Ściśnijta się! Ściśnijta!" — wołał dziewosłęb, ocierając spocone, wysokie czoło i odgarniając rzadkie blond włosy.

Goście z miasta mieli siedzieć na przeciwko młodych, którzy też właśnie nadeszli. Stali teraz, zastanawiając się jak się przedostać na drugą stronę stołu. „Przez stół!" — doradzano jej. Weszła na ławkę, po tym na stół, który ugiął się pod jej ciężarem. Butelka z wódką z brzękiem upadła na talerz z ćwikłą. Młody próbował przedostać się pod stołem, lecz zaraz się cofnął. Nie pozwalała mu na to jego godność ani to, że dziś był najważniejszą tu osobą. Poszedł w ślady młodej, odciskając na zastępującym serwetę papierze brudny znak stopy.

Zaraz też zaczęły się przyśpiewki.

„A to czemu nie śpiewata, czy
grabowe gęby mata?
Czy grabowe, czy dębowe, a do
picia są gotowe!"

Gość z Warszawy, ściśnięty jak śledź w beczce między dwiema dziewczynami w wełniakach, nie mógł się prawie poruszać. Ławka była bardzo wąska, siedzenie więc i bez tego było niewygodne.

„A już Stefan jest po ślubie — śpiewano
Postawcie mu kaszę z garnkiem
— niech sobie dłubie!"

...Ławy obsiadło co najmniej sto dwadzieścia osób, nie licząc tych, co stali, nie mogąc dla się znaleźć miejsca. Nie czekając na zaproszenie, żwawo zabrali się do jedzenia. Poszły w ruch butelki.

„Płynie woda między lipy, a nasz
młody nieumyty,
nie chciała go żadna wdowa,
tylko Jasiunia Sztychowa!"

Jadła było w obfitości, choć wybór niewielki: kiełbasa, pasztetowa, salceson, krwawa kiszka, chleb ciemny i jasny, tzw. placek, sałata z pomidorów, kwaśne ogórki, ćwikła i musztarda. W tym nieopisanym tłoku czynność jedzenia wymagała wielkiej zręczności i — wysiłku. Na nierównej powierzchni stołów i w tej ciasnocie kieliszki i czarki z wódką często się przewracały, budząc ubolewanie biesiadników.

„Na weselu trzeba śpiewać, a nie
siedzieć i nie ziewać,
kto nie śpiewa, nie tańcuje,
niech do domu powędruje!" —

wydzierała się przeraźliwie jedna z druhen, która na wesele przyjechała z Pabianic, gdzie pracowała w apreturze. Była niezmordowana, jej zaś repertuar niewyczerpany. Wtedy właśnie zjawiła się Antosia i stanąwszy za gościem z Warszawy, podjęła z druhną z Pabianic skrzekliwy duet. Zakrzykiwały się wzajemnie, podtrzymywane przez inne dziewczęta i kobiety.

„A ja nie taka głupia, jak moja
mamusia,
za kieliszek wódki wyszła za
tatusia!"

Z różnych stron stodoły rozległy się tradycyjne okrzyki, że „wódka gorzka, gorzka!" Ale młodzi nie mieli zamiaru całować się publicznie. Siedzieli z pochylonymi głowami, sromając się rzeczywiście, czy też gwoli zwyczaju. Jedli bardzo mało.

„Wianka dowija, ale go nie ma —
śpiewano —
ładnego Stefcia przy sobie trzyma,
nikt go nie zabrał tylko jej
Stefcio,
co jej obiecał złoty pierścionek!
Pierścionka nie dał, wianek jej
stracił,
wianek jej zabrał — nic nie
zapłacił!"

Po przekąsce wniesiono talerze i podano rosół, na kurach gotowany, następnie zaś i kury same, przypiekane, do tego kapustę i kartofle. Niektórzy, chcąc użyć do syta, wszystko przegryzali ciastem. Pito dużo i pito by jeszcze więcej, gdyby im chciano nadążyć za tempem picia. Ale gości było półtorej setki, litr zaś wódki kosztuje osiemset zł! Więc choć wołano z różnych stron, że butelki próżne, ani szwagier, ani Antosia z Michasią nie kwapiły się z przynoszeniem nowych „litrów".

„Oj kochanie, kochanie, gorsze
od więzienia,
z więzienia wyjść może —
z kochania broń Boże!
Oj da da!"

Gość z Warszawy, któremu te przyśpiewki wykrzykiwano tuż za uchem, marzył już tylko o tym, by wstać od stołu, zwłaszcza że do przyśpiewek przyłączyła się kapela, powtarzając przy każdej niezmiennie ten sam refren.

„Jedzcie, pijcie, używajcie, po
kieszeniach nie chowajcie,
a bo zaraz po obiedzie — rewizyja
bedzie!"

Przyśpiewka ta, mająca z pewnością swe zwyczajowe uzasadnienie, tym razem była zbędna, gdyż do kieszeni trudno by było się dostać. Jadło znikało z talerzy, stół pokrywał się plamami wylanych płynów, skórkami wędliny, ogryzkami chleba, kośćmi. Nikt nie oglądał się na sąsiada, śpiewając każdy na swoją nutę, przekrzykując się przez całą szerokość klepiska, obejmując, całując i świadcząc sobie słowa przyjaźni. Jeden z drużbów ciągnął Antosię, by siadła mu na kolana, obłapywał ją przy tym tak obcesowo, że opędzała się od niego, jak od natrętnej muchy. Wreszcie odepchnęła go, że aż się zatoczył i zaśpiewała przekornie:

„Moja matuś dobra była, bo mnie
robić nie uczyła,
tylko śpiewać i tańcować,
i chłopaka ucałować!"

Zebrano talerze, podając kompot. Kilku podpitych parobczaków mimo ścisku podrzucało w górę spoconego dziewosłęba. Biesiada rozprzęgała się coraz bardziej. Coraz to kto inny wymykał się ze stodoły. Gość z Warszawy poszedł w ich ślady. Muzykanci, ulokowawszy się na wozie, ustawionym obok „podłogi", grali zwykłe w tych stronach „kawałki". Na deskach robiło się coraz bardziej tłoczno.

— I co dalej? — spytał gość z Warszawy Antosię, której nogi podrygiwały do tańca, choć jednocześnie oczy kleiły się ze zmęczenia.

ANNA KAMIEŃSKA

# REPORTAŻ Z WESELA

*Reportaż Jerzego K. Maciejewskiego, który zamieszczamy, jest ostatnio jedyną bodajże próbą uchwycenia w języku literackim fragmentu żywego dotąd na wsi elementu dawnej kultury ludowej, obrzędu weselnego. Od innych ujęć — powieściowego (choćby „wesela Boryny w „Chłopach" Reymonta) i widowiskowego (np. pokazywane przez zespół amatorski „Wesele Lubelskie" lub „Gody Weselne" Schillera) odróżnia się reportaż Maciejewskiego realizmem i aktualnością, osadzeniem w konkretnym czasie. Zrywa on z mitologizacją obrzędowości wiejskiej, nie idealizuje wieczystej pono symboliki obrzędu ani jego znaczenia w kulturze tworzonej przez lud.*

*Dla współczesnego etnografa ta pozbawiona publicystycznej interpretacji relacja z życia — powinna okazać się interesującą z wielu względów. Nie tylko z tego, że ukazuje trwające jeszcze, a ginące i zacierające się już (niektórzy etnografowie powiedzą niestety!) formy dawnej kultury ludowej dając tym materiał do odtworzenia kiężackiego obrzędu weselnego z okresu bardziej niż dziś zamkniętej kultury wsi. Ale dlatego przede wszystkim, że ukazuje ona ten obrzęd niejako w stawaniu się, w jego zmienności wywołanej dialektyką czasu, ukazuje fragment kultury ludowej, fragment obyczajowości współczesnej wsi, współczesnego ludu. Cóż różni ten „lud" z reportażu od dawnego obejmowanego tą nazwą np. przez pozytywistycznych ideologów — organiczników? Wieś księżacka stwarza tu szczególną sytuację: jest nadal po ludowemu barwna i strojna, ale przestała być zakorzeniona wyłącznie w ziemi, w rolnictwie. Na wesele zjeżdżają do rodziny krewni z odległych stron, będący robotnikami przemysłu, pracownikami w miastach. Wracając na wieś uczestniczą oni w weselu nie jako goście, ale jako czynni aktorzy obrzędów. Wieś nawet poprzez stosunki rodzinne wiąże się z przemysłem, z klasą robotniczą.*

*Wesele, współczesne wesele wiejskie daje przede wszystkim sposobność do badania stosunków rodzinnych na wsi. Reportaż Maciejewskiego ukazuje tu interesujące przejawy będące w dużej mierze rementami przeszłości: względy majątkowe przy zawieraniu małżeństwa, osoba złej świekry, w antagonistycznych przyśpiewkach podziały obyczajowe na panny, mężatki (baby).*

*Drugą sprawą z zakresu obyczajowości współczesnej wsi przejawiającą się w zmiennej obrzędowości wesela — jest sprawa kobiety na wsi. Na ile rola jej jest nadal bierna przy wyborze męża, następnie podporządkowana mężowi w życiu rodzinnym i pracy.*

*To nawet, co w tej sprawie nie zostało wyraźnie wydobyte przez autora, co się w opisywanym obrzędzie weselnym nie ujawniło — stwarza pokusę dokładniejszego zbadania i słuszniejszej niż to się u nas w pracach etnograficznych przeważnie czyniło — słuszniejszej, a więc bardziej marksistowskiej oceny sytuacji kobiety i jej roli w życiu wsi.*

*Autor reportażu natrafił na żyłę żywego ciągle folkloru, dowiódł żywotności obrzędu właśnie w jego zmienności, a nie w zakrzepłości tradycji. W zbeletryzowanej formie reportażu wyraźnie miesza się element dawności zwyczajowej, z formami nowego życia w zmienionych warunkach materialnych. Satyryczne przyśpiewki weselne zapisane przez autora przechodzą tradycyjnie z pokolenia na pokolenie i tu jednak dało by się zapewne odkryć elementy nowe, współczesne. Reportaż ujawnia wyraźnie w opisie zabawy weselnej na tle pracy gospodarczej na wsi—brak równowagi między pracą i zabawą, coraz większe nieprzystosowanie dawnej formy zabawy — długotrwałej, hucznej zabawy kułackiej do współczesnych norm pracy w rolnictwie. Reportaż Maciejewskiego dostrzega niestety zbyt mało względów klasowych w przebiegu wesela, w zwyczajach weselnych. Uwydatnić te sprawy, zinterpretować je — byłoby obowiązkiem współczesnego etnografa-marksisty. Zwracając w zamieszczonym reportażu uwagę na żywotność obrzędowego folkloru, a tym samym na jego zmienność, redakcja zaprasza etnografów do zabrania głosu i uzupełnienia literackiego opisu Maciejewskiego historyczno-kulturową interpretacją.*

*Anna Kamieńska*

# STALIN O ROZKWICIE KULTUR NARODOWYCH

(*Dokończenie ze str. 2*)

nistycznego ruchu wśród proletariatu każdego państwa lub burżuazyjno-demokratycznego ruchu wyzwoleńczego klasy robotniczej i chłopów w krajach zacofanych lub wśród zacofanych narodowości". (Dzieła. tom XXV, str. 287).

Oznacza to, że stosunek do ZSRR stanowi najpewniejsze kryterium dla określenia tego, kto jest prawdziwym socjalistą, komunistą, internacjonalistą, a kto jest tylko zamaskowanym agentem imperializmu.

Lenin i Stalin rozwijają i konkretyzują zasady proletariackiego internacjonalizmu w zastosowaniu do naszej epoki, demaskując jednocześnie wszelkich zamaskowanych agentów imperializmu w rodzaju titowców podających się za „socjalistów", „komunistów", „internacjonalistów", w rzeczywistości zaś kroczących w awangardzie podżegaczy zbrodniczej wojny przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej.

Stalin, demaskując najgorszych wrogów socjalizmu, wrogów wolności ludów — trockistów, tych faszystowskich wyrodków ukrywających się pod sztandarem internacjonalizmu i rewolucji światowej, jeszcze przeszło 20 lat temu mówił: *„Rewolucjonistą* jest ten, kto bez zastrzeżeń, bezwarunkowo, otwarcie i uczciwie, bez tajnych narad wojennych gotów jest bronić ZSRR, gdyż ZSRR jest pierwszym na świecie proletariackim państwem rewolucyjnym, które buduje socjalizm. *Internacjonalistą* jest ten, kto bez zastrzeżeń, bez wahań, bez warunków, gotów jest do obrony ZSRR, ponieważ ZSRR jest bazą światowego ruchu rewolucyjnego a obrona i posuwanie naprzód tego ruchu są niemożliwe bez obrony ZSRR. Kto bowiem myśli o obronie światowego ruchu rewolucyjnego omijając i przeciwstawiając się ZSRR, ten kroczy przeciwko rewolucji, ten niechybnie stacza się do obozu wrogów rewolucji". (Dzieła, t. 10, str. 51). Obrona ZSRR jest najwyższym obowiązkiem wszystkich internacjonalistów.

**M. Kammari**

# WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

— Ano nic. Kto pójdzie tańczyć, a kto spać...

— Wybieram to drugie. Czy na tym obiedzie wesele już się kończy?

— Gdzie tam. To zresztą jeszcze nie jest obiad. Obiad będzie dopiero wieczorem. A jutro rano poprawiny, ale już nie u młodej, tylko u nas.

Goście z Warszawy poszli do chałupy i legli na przygotowane dla siebie łóżko. W izbie pachniało mocno jabłkami, siennik był twardy, ciepła pierzyna. Zasnęli snem kamiennym.

✤

Zmierzchało już, gdy zastukano do drzwi i weszła Antosia.

— Wstawajcie, państwo. Niedługo obiad!

— Czuję, że zrezygnuję z obiadu — powiedziała rozespanym głosem żona gościa z Warszawy. — Może pójdziesz sam?

Antosia rozsiadła się na trzeszczącym krzesełku i leniwie odpowiadała na zadawane sobie pytania. Najchętniej rzuciłaby się, tak jak stała, na łóżko. Kiedy pomyślała o tym późnym „obiedzie" i jutrzejszych poprawinach, przechodziły ją ciarki. Nogi już miała obrzękłe od biegania.

Wzdrygnęła się na myśl o zmywaniu stert naczyń.

Do stołów poproszono późno. Sceneria była ta sama: tłok, przyśpiewki, to samo jadło i wódka. Grał tylko harmonista, pozostali dwaj muzykanci siedzieli wraz z gośćmi za stołem. Bębenkiem owładnął brat młodego, Czesław, i akompaniował nie w takt. W smudze cienia, ostrym klinem dzielącej światło, padające ze stodoły, zaczynała się zwada: brat Murczaka, co to poniechał małżeństwa w Michasią, rwał się do bitki z mężem Puchaczki, która nie chciała z nim tańczyć. Rozbraniano ich... Kobiety śpiewały:

„Wczoraj była u pszenicy, dzisiaj u żyta, u żyta,
wczoraj była panieneczka — dzisiaj kobita, kobita,
Oj da da!"

Zbliżały się oczepiny, które niemal do cna zatraciły dawną obrzędowość i przeszły niemal niepostrzeżenie. Podczas gdy dziewczęta śpiewały:

„My ciebie, Jasiuniu, nie chcemy, nie chcemy,
Twój wianuszek z białej róży w błoto wdepczemy..."

mężatki im odpowiadały chóralnie:

„My cię, Jasiuniu, przyjmiemy, przyjmiemy,
Twój wianuszek z białej róży za szkło włożymy!"

na to druchny:

„Kiedyście ją oczepili, to ją sobie weście,
będzie wam sprzedawała obwarzanki w mieście!"

I oto młoda miała już na głowie na wzór mężatek zawiązaną barwną chusteczkę. Była już gospodynią, mężatką, babą. Może dlatego uśmiech tak rzadko ukazywał się na jej pobladłej ze zmęczenia twarzy.

Zwyczaj nakazywał, że młodej zdejmują z nóg trzewik, który nowożeniec musi wykupić butelką wódki. Paru najbardziej wytrwałych opojów wlazło pod stół i przeciskając się między nogami biesiadników oraz rozmaitymi odpadkami z biesiady, wszczęło walkę o trzewik młodej. Ostatecznie panem złamanego półbucika został pan młody.

Jeszcze do stodoły wjechał na „ośle" — kroczącym na czworakach parobczaku, przyodzianym w kożuch, włosiem do góry — kilkoletni siostrzeniec młodej, ale już obiad dobiegał końca i młodzież coraz liczniej przenosiła się na deski. Miano tam tańczyć do rana.

✤

We wtorek były już tylko „poprawiny", na których pozostała jedynie bliższa rodzina i goście z miasta. Do śniadania podano w niedawno odbudowanej izbie rodziny młodego. Że była mniejsza od klepiska, więc tłok był niemal równie wielki. Tym razem gości z Warszawy usadzono obok gości z Pomorza, z prawej zaś zasiadł ów stary Hilary, co to odbył kampanię rosyjsko - japońską i wiele a chętnie opowiadał o laojanie, o zwyczajach chińskich i o swej ranie, w Mandżurii odniesionej.

Jadłospis potraw i napojów był ten sam z dodaniem nóżek w galarecie oraz marynowanych śliwek. Jedynie wódki było znacznie więcej — no, bo gości było znacznie mniej. Zaledwie zasiedli do stołu, zniknęły z niego dwie litrowe butelki, schowane przez biesiadników pod stół. Gość z Warszawy sądził, że był to żart, chodziło jednak o wycyganienie butelek zastępczych, by zwiększyć rację litra na cztery osoby... Młody jednak nie dał się na to nabrać. Oświadczył, że jeszcze jest przy zdrowych zmysłach, doskonale pamięta, że wódkę stawiał, a jeżeli ją schowali, to sami sobie winni: najwyżej nie będą pili.

Wobec tego butelki ukradkiem wróciły na stół.

Wraz z nalaniem pierwszych kieliszków zaczęły się przyśpiewki, jednakże bez akompaniamentu kapeli. Była to przyjemność zbyt kosztowna. Trzej muzykanci za swój wczorajszy występ wzięli 6300 zł.

„Dziś już nie wesele tylko poprawiny,
wczoraj byłaś panieneczka, dzisiaj gospodyni".

Młoda dziś była w lepszym humorze i nawet znalazła czas dla swych gości z Warszawy, którym ubolewała się, że „jakbyś się, człecze, nie starał — wszystkim nie dogodzisz. Później i tak cię obsmarują, żeś skąpił..."

Stary chłop w pasiaku obok gościa z Warszawy nie rwał się do wódki, ale gdy ten mu napełnił kieliszek, uśmiechnął się szeroko i trącił go porozumiewawczo łokciem. To — ci gratka! Na to i wesele! Zaśpiewał chropawym, jakby nadpękniętym głosem:

„Jestem Księżak spod Łowicza,
a szeroka nogawica,
a i szerokie rękawy,
ze mnie Księżak do zabawy!"

Temperatura zabawy szybko wzrastała. Już, usadziwszy tego i owego gościa na krześle, brano go „na ura" do góry, już przyśpiewki wybuchały nieskoordynowanie w kilku miejscach jednocześnie.

„Wszystkie kwiatki ładne, ładne,
najładniejsza astra,
Wszystkie druchny ładne, ładne,
najładniejsza starsza!"

Michasia przerwała na chwilę bieganinę między komorą a stołem i dała się namówić na wychylenie kieliszka. Czesław, mający słabą głowę, bronił się przed tym gwałtownie.

Młody stanął za gośćmi z Warszawy i szeptał im w ucho:

— Że ja się wczoraj na was patrzeć przy stole nie chciałem, to dlatego, że mi wstyd było za to ich zachowanie... Pan pół świata objechał, to i owo widział, więc i dziwić się musi na to zachowanie się naszych ludzi wiejskich...

— Och, to się zdarza i w mieście. Może jeszcze częściej — pocieszał go.

— Ale ich trzeba zrozumieć — bronił młody swych znajomków i sąsiadów. — Oni w czasie okupacji i w pierwszych latach powojennych nauczyli się pędzić i pić bimber. Pili go jak wodę, choć był mocny jak spirytus. I to im weszło w zwyczaj. Bo niektórzy to i odzwyczaić się nie mogą, jak ci na przykład — wskazał na zespół czterech z przeciwka.

Poprawiny się udały. Młody, Antosia, Michasia, Czesław, ich matka nie szczędzili gościom niczego: „Jedzcie, pijcie, używajcie — po kieszeniach nie chowajcie..." Sprowadzono ze wsi jakiegoś samouka-harmonistę i w opuszczonej szkole, zastępującej przejściowo dom ludowy, chciano urządzić tany. Chłodno tu było i brudno, podłoga dawno niezamiatana, toteż zaledwie kilka par kręciło się ospale. Drugą to już dobę trwało wesele i zmęczenie dobrze siedziało w kościach. W dodatku pogoda była na świecie i wszędzie wokoło ludzie orali, bronowali, siali...

— Dawniej — seplenił Hilary — inne były czasy, lepsze. Wesele trwało tydzień cały.

— Wesele trwało tydzień — wtrącił gość z Pomorza — a potem z długów nie wyłazili przez rok, albo i więcej. To mi wesele!

Hilary z blaszanego pudełka wydobył połówkę papierosa, obejrzał ją starannie, zapalił. Potem z nieprzeniknionym wyrazem zwiędłej pooranej bruzdami twarzy spojrzał na gościa z Pomorza.

Kobiety pozdejmowały swe świąteczne wełniaki i nagle jakbyś odarł rajskie ptaki z pierza. Stały się codziennymi, zalatanymi, zapracowanymi, szarymi, niepokaźnymi istotami. Chwytały za szkopek, za kosz na kartofle, za tę codzienną babską pracę, której nigdy końca nie widać.

Wesele się skończyło...

*Jerzy K. Maciejewski.*

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

# WŚRÓD JANKÓW-MUZYKANTÓW

W Warszawie, z dala od gwaru miasta, opada schodkami w stronę Wisły wąziutka szyja ul. Profesorskiej. Boczny zaułek oddycha własnym życiem; cały dzień w niespokojnym powietrzu wibrują dźwięki wszystkich możliwych instrumentów. To tutaj mieści się Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna — nieuświadomiony cel marzeń chłopskich dzieci opętanych muzyką.

Któregoś dnia zatrzymał się przed szkołą nieoczekiwany w tej scenerii wehikuł — wóz drabiniasty spod Tomaszowa. Wysiadł z niego stary chłop w baraniej czapce i zażądał widzenia się z dyrektorem. Za przybyłym przepychała się trójka rosłych chłopaków.

„Przywiozłem wam do szkoły trzech synów. O niczym nie chcą słyszeć, tylko o muzykowaniu. Jakoś tam ich zaopatrzę — dajcie tylko dach nad głową i uczcie".

### 2.500 LISTÓW

Scena ta wywarła duże wrażenie na dyrektorze szkoły Kurkiewiczu. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad znikowym procentem młodzieży wiejskiej w szkołach muzycznych (w Warszawie 8 procent). Stan ten wymagał radykalnej poprawy. O jego zmianę wołała wiekowa krzywda zapoznanych talentów „Janków — muzykantów"; domagała się konieczność regeneracji kadr muzycznych przetrzebionych przez wojnę; wzywała potrzeba wniesienia nowych treści klasowych do naszej kultury muzycznej.

Koło partyjne przy konserwatorium porozumiało się ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Uradzono zarezerwować pewną ilość miejsc w szkołach muzycznych i ogłosić to w prasie chłopskiej.

Wkrótce w „Gromadzie", „Chłopach", „Zielonym Sztandarze" i innych pismach, a także w Polskim Radio — ogłoszono komunikat. Rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania. Już po kilku dniach zaczęły napływać setki listów — entuzjastycznych, błagalnych, natarczywych. Do maja 1949 r. wpłynęło przeszło 2.000 podań. Pisali młodzi muzykanci wiejscy, pisali samorodni śpiewacy; około 600 listów przysłały dzieci nie umiejące grać, ale chcące się po prostu czegoś uczyć.

Andrzej Koźniakowski z powiatu grójeckiego pisał: „Ze słuchu gram wszystko na pianinie i na skrzypcach... Gdybym się uczył od małego, to do tej pory bym był muzykiem, ale że jestem biedny sierota, bo nie mam ojca i mieszkam na wsi, to grywam sobie ze słuchu na skrzypcach. Jak się tu nauczyć grać, żeby pomóc mamusi?... Z żalem patrzę na fortepian, który jest zamknięty w pokojach po dziedzicu od reformy rolnej bez użytku do dzisiaj, a który mógłby służyć dla „Janków — muzykantów"

List nieco egzaltowany, ale z wyraźnym zacięciem literackim, przysłała 17-letnia Anna Kowarska z Siedlec. Opisuje w nim swoje tęsknoty artystyczne, pierwsze przeżycia muzyczne, jakie dał jej grający dziadek — krowiarz, zabity potem na pastwisku przez Niemców.

Wzruszające podanie małego grajka pokrzywdzonego przez życie: jest nieślubnym dzieckiem, co mu wszyscy wypominają; ma tak zwany „ogień" na twarzy, z którego wszyscy się śmieją. Jedyną nadzieją, rehabilitacją i zadośćuczynieniem jest dla niego muzyka.

Pisał ojciec niewidomego chłopca, odciętego od świata barw i kształtów, żyjącego jedynie w krainie dźwięków.

Maria Fiałkówna z pow. lubartowskiego pisze: „Strasznie zamiłowana jestem grać na skrzypcach, śpiewać i tańczyć... Więc ja bym bardzo prosiła o opisanie warunków i czy będę mogła być przyjęta na te kursa... Proszę natychmiast odpisać..."

11-letni muzykus zagroził ojcu, że ucieknie z domu, jeśli nie zawiozą go do szkoły w Warszawie.

### PRZEŁOMOWY KONKURS

Na wszystkie listy odpowiedziano. Na początek wyłowiono 100 najciekawszych i zaawansowanych paroletnią grą dzieci. Zaproszono je na publiczny egzamin do Warszawy.

Niektórzy po 50 — 60 km. drałowali na piechotę. Stanęli wreszcie przed wielkim gmachem Związku Samopomocy Chłopskiej na pl. Starynkiewicza. Dzieci dostały jeść, przeszły przez badania lekarskie, zostały prowizorycznie zakwaterowane. Warszawa zainteresowała się swoimi przyszłymi sławami. Zaczęto przysyłać wiktuały, jakaś Centrala Handlowa zaofiarowała... beczkę kapusty, zgłaszano pomieszczenia; ktoś chciał jednak koniecznie naprzykład chłopca, ktoś inny zapragnął dziecka, ale właśnie w wieku lat 12, jeszcze ktoś życzył sobie akurat skrzypka i t.p.

Na egzamin zaproszono ludzi ze sfer rządowych, artystycznych, wojskowych itd. Pytania obejmowały probę słuchu i wrażliwości muzycznej (poczucie rytmu, słuchu, orientacji dźwiękowej) oraz stopień zaawansowania muzycznego. I po raz drugi rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania.

W tej gromadzie biednie ubranych dzieciaków i wyrostków wiejskich, z czarnym brudem za paznokciami, zaopatrzonych w okropnie zdezelowane instrumenty — odkryto zdumiewające talenty. Wielu zdawało na piątki ze wszystkich przedmiotów. Stopień zaawansowania był oczywiście bardzo różny: od dzieci, które znały tylko organy i pierwszy raz w życiu widziały fortepian — do 17-letniego Władysława Pichewskiego, który wystąpił z „Romansem" z koncertu skrzypcowego Wieniawskiego.

Syn rolnika z lubelszczyzny 25-letni Stanisław Kupica nie tylko gra, ale również maluje i pisze. Do słów jego „Pieśni ludowej" Jan Maklakiewicz napisał już muzykę.

14-letni Zbigniew Szczęsny dostał skrzypce na gwiazdkę od siostry ciotecznej. Popisywał się grą na nich, a także na harmonii.

Bogdan Łukasiewicz, syn nauczycielki ludowej, był w 1943 r. w Ałcie. Nauczył się tam grać na bałałajce, następnie akompaniował na gitarze, obecnie opanował już mandolinę, akordeon, skrzypce i fortepian. Wibruje, ma absolutny słuch.

Jedną z najpopularniejszych postaci konkursu był 11-letni Roman Zdanowicz; malutki zakutany w kożuszki, z harmonią — najnędzniejszą chyba wśród harmonii świata. Przed występem umacniał klawisze, gorączkowo kleił instrument papierem, żeby powietrze nie uciekało. Egzamin zdał świetnie.

Tragiczny epizod małego ślepca. Stwierdzono zdolności muzyczne, ale nie umiano znaleźć dla niego miejsca. W bursie z normalnymi dziećmi nie można było go umieścić. Instytut Ociemniałych nie chciał się nim zainteresować. Chłopak krzyczał rozpaczliwie w gabinecie organizatorki w Związku Samopomocy Chłopskiej, szukając jej bezradnie po pokoju.

W rezultacie egzaminu zakwalifikowano:

| | |
|---|---|
| do klasy fortepianu | — 10 osób |
| skrzypce | — 8 osób |
| wiolonczela | — 2 osoby |
| trąbka | — 5 osób |
| klarnet | — 2 osoby |
| flet | — 1 osobę |
| waltornia | — 2 osoby |
| kontrabas | — 5 osób |
| puzon | — 2 osoby |
| do klasy śpiewu | — 3 osoby |

O konkursie rozpisała się prasa. Po pierwszym artykule Wiktora Woroszylskiego: „Królikowski gra sam ze siebie" w „Trybunie Ludu" — posypały się entuzjastyczne opinie w wielu pismach. Prezydent Bierut ofiarował kilka stypendiów dla najzdolniejszych, Marszałek Żymierski — wyekwipowaną bursę dla kilkudziesięciu chłopców. Świat muzyczny zebrał instrumenty wartości miliona złotych. Rozpoczęto gromadzenie pieniędzy w ramach Funduszu Stypendialnego Chopinowskiego, korzystając ze zbiórek ulicznych, subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zw. Samopomocy Chłopskiej, C.R. Zw. Zawodowych i Zw. Młodzieży Polskiej.

Po pierwszym konkursie (31 stycznia — 1 lutego 1949 r.) odbył się jeszcze drugi w Warszawie, a potem podobne: w Lublinie, Krakowie, Olsztynie, Poznaniu, Katowicach — dla dzieci z tamtych województw.

Zasadniczo postanowiono zgromadzić muzykantów w dwu punktach: w Warszawie (bursa na ul. Podchorążych) i w Krakowie (bursa na ul. Paryskiej, w dawnych koszarach K. B. W.).

Nie wszyscy uzdolnieni mogli się od razu zmieścić w konserwatoriach. Część skierowano do zespołów muzycznych „Służby Polsce", część do Państwowego Zespołu Mazowieckiego Pieśni i Tańca w Karolinie (gdzie uczą się równocześnie gry na fleciku, śpiewu, i tańca). Starszych oddano na kurs akcji świetlicowej Zw. Samopomocy Chłopskiej, aby wyszkolić z nich przodowników amatorskiego ruchu muzycznego — świetlicowego, kulejącego dotychczas.

### MUZYKA NA UL. PODCHORĄŻYCH

Po konkursie dzieci wróciły do domu na wieś, aby czekać na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie mogły się doczekać! Opisał to soczyście wspomniany już Roman Zdanowicz z pow. Piła, w liście do konserwatorium: „Byłem w Warszawie w Szkole Muzycznej Samopomocy Chłopskiej, na egzaminie ze swoim muzycznym instrumentem i zdałem egzamin i dostałem piątkę, przyjechałem z tatusiem do domu i dotychczas nie mam żadnej wiadomości... smucę się bardzo, bo nie mam żadnej wiadomości kiedy mam przyjechać do nauki... liczę siebie nieszczęśliwego, że ze mnie wszystkie dzieci śmieją się, że ja nie wyjeżdżam do nauki... Z niecierpliwością czekam odpowiedzi wkiedy mam przyjechać do nauki".

Nadeszła wreszcie jesień. Chłopcy zostali zawiadomieni, że do 15 października mają stawić się w Warszawie. Rozpoczął się rok szkolny w Średniej Szkole Muzycznej.

Lekcje to jednak nie wszystko. Trzeba się do nich przygotować, a przede wszystkim trzeba gdzieś mieszkać. W rozwiązaniu tej kapitalnej kwestii dopomogło wojsko. Marszałek Żymierski ofiarował na bursę barak nr. 2 w koszarach na ul. Podchorążych. Warunki napewno nie luksusowe, ale i nie najgorsze. Murowane pomieszczenie składa się z trzech sałek: dużej świetlicy i dwu mniejszych pokoików bocznych. Ponieważ rozpiętość wieku elewów jest znaczna: od 11 do 20 lat — młodszych umieszczono w dużej sali, a starszych, po paru, w pokoikach. W każdej z trzech izb stoi pianino, muzyczny barak rozbrzmiewa cały dzień ćwiczebnym jazgotem wszystkich instrumentów. Mieszka tu około 30 chłopaków, a każdy chce skorzystać jak najwięcej. Są wybrańcy z konkursu, są starsi uczniowie szkoły, są też „uciekinierzy" z Zespołu Mazowieckiego w Karolinie. Nie mieli zaufania do tamtej nauki, która przygotowuje grupę występowiczów — to rzecz niepewna; każdy zespół może się rozlecić, a oni chcą zdobyć zawodowe, (pełne wykształcenie muzyczne.

Kierownik kursu (trzydziestoparoletni pianista) chwali swoich wychowanków: element moralnie zdrowy; chłopcy wiejscy nie przypominają lumpowskich wyrostków; są szczerze rozmiłowani w muzyce, chcą się naprawdę uczyć.

Kłopotów oczywiście nie brak: chłopaki myją się pod dosyć odległą od baraków pompą; wewnątrz pokutują jakieś antyczne piece, które należałoby wymienić; przed zimą barak trzeba by podwójnie otynkować.

Kierownik chciałby w życiu bursy pogodzić wymogi dyscypliny z artystyczną naturą chłopców. Jedenastoletni muzyk przechadza się zadumany po sali w wełnianej mycce na głowie. „Zdejm czapkę, w domu jesteś" — powiada przełożony. Chłopak myśli przez chwilę i poważnie zdejmuje beret.

Młodszych trzeba było poza tym ulokować w szkole ogólnokształcącej. W Warszawie nie zawsze jest to łatwo, ale jakoś się udało.

Uczniowie są zadowoleni z bursy i nauki. Dostali nowe instrumenty, wyżywienie mają dobre („co dzień kompot!"). Jadają w estetycznie urządzonym Kasynie Oficerskim.

### POZNAJMY PARU „BURSIARZY"

Klasycznym typem „Janka-muzykanta" jest 15-letni Krzysztof Ślusarz, syn półtora hektarowego chłopa z Lubelszczyzny. Od 7-ego roku życia grywał na skrzypcach, które sam wycinał z drzewa. Ojciec mu początkowo zabraniał, ale widząc upór chłopca kazał zrobić stolarzowi-sąsiadowi skrzypki dla syna. Po trzech latach kupił mu prawdziwe skrzypce. Chłopak, całą duszą zakochany w muzyce, zaczął chodzić po weselach i zabawach, wygrywając polki i oberki. Znajomek przeczytał komunikat o szkole muzycznej — zawiadomił chłopca. Krzysztof pierwszy raz w życiu jechał pociągiem na konkurs do Warszawy — dotąd pędził życie na głębokiej wsi — 20 km. od Parczewa. Jest piątkarzem, jednym z najzdolniejszych w bursie.

Waldemar Kulfan ma 20 lat i piękny, silny tenor. Pochodzi z białostockiego, był robotnikiem-tkaczem, matka wdowa — także robotnica. W domu bieda. Chłopak był znany w okolicy ze swego talentu, kierownik świetlicy fabrycznej zwrócił na niego uwagę i wróżył mu przyszłość artystyczną. Kulfan gra ze słuchu na różnych instrumentach, jest członkiem ZMP.

Przewodniczącym Koła ZMP na terenie szkoły jest Władysław Kwiatkowski, 20-letni skrzypek, syn emerytki mieszkającej na Kole. Jego „historia" zaczęła się od tego, że kolega przyniósł kiedyś mandolinę. Bardzo się to Władkowi podobało, ale wnet zapragnął skrzypiec. Jeszcze przed wciągnięciem do organizacji zajęli się nim ZWM-owcy. Przygarnęli go do siebie do Domu Akademickiego, bo w mieszkaniu grać nie mógł z powodu ciasnoty i braku światła (lampa naftowa). Od czterech lat uczy się w Szkole Muzycznej.

11-letni Henryk Wesołowski pochodzi z okolic Włocławka, gdzie rodzice mają 5-cio morgowe gospodarstwo. Umie grać na harmonii, a teraz opanowuje fortepian.

Na klarnecie uczy się grać inny były harmonista Jarosz...

**St. Marczak - Oborski**
(d. c. n.)

# FRANCISZEK HALAS

1901 — 1949

### PIEŚŃ NIEPOKOJU

**Ileś razy mój wierszu**
**ileś razy utykał**
**w miłości bólu rzeczywistym**
**lecz osobistym**
**ileś razy mój wierszu**
**brzmiał taneczną muzyką**

**A teraz idź mój wierszu**
**idź krokiem zbrojnym**
**w pochodzie wojny**

**Rytmem piechoty brzmijcie słowa**
**w bojowym szyku**
**w niepokoju krzyku**

**Dzwoni dzwoni zdrady dzwon**
**zdradą dzwoni**
**Czyjeż go ręce rozhuśtały**
**O Francjo słodka cny Albionie**
**Czechy was tak kochały**

**Widziałem mokre kobiet oczy**
**Widziałem pięści zaciśnięte**
**Wnet już gdy czas się ten przetoczy**
**poznacie niepojęte**

**Ty wszechmogąca mórz królowo**
**to morze łez to nasze lica**
**dojrzeje wkrótce gniewu owoc**
**nadziei brzęczy już kotwica**

**Dzwoni dzwoni zdrady dzwon**
**zdradą dzwoni**
**Czyjeż go ręce rozhuśtały**
**O Francjo słodka cny Albionie**
**Czechy was tak kochały**

**Ty Francjo słodka ty Marianno**
**frygijską czapkę swoją podaj**
**Słoneczny szczyt twój roztrzaskano**
**i hańbą cuchnie twoja zgoda**

**Noc w schronach ciemnych i okopach**
**i w ziemi krwi brzmi tętno**
**do ciebie świecie do ciebie Europo**
**ostatni żołnierz wstręt ma**

**Dzwoni dzwoni zdrady dzwon**
**zdradą dzwoni**
**czyjeż go ręce rozhuśtały**
**O Francjo słodka cny Albionie**
**Czechy was tak kochały**

**Pole nasze krzyczy Zdrada**
**Lasy nasze trzeszczą Hańba**
**Rzeki nasze szumią Zdrada**
**Góry nasze huczą Hańba**

**A teraz cisza Stąpa Głos**
**O duszo ludu takiż głos**
**Geniuszu ziemi naszej**
**na skrzydłach twych**
**łez pełno które ronim**
**Geniuszu ziemi naszej**
**w godzinach złych**
**miecz twój niech wnet zadzwoni**

**(1938)**

**Przed kilkoma dniami zmarł w Pradze Franciszek Halas, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów czeskich. Śmierć Halasa jest dla nas tym boleśniejsza, że położył on olbrzymie zasługi na polu zbliżenia kulturalnego narodów polskiego i czeskiego.**

**Halas debiutował w r. 1927 zbiorkiem zatytułowanym „Sepie". W latach następnych opublikował kilkanaście oryginalnych tomików poetyckich i wiele przekładów. Za własną twórczość poetycką został odznaczony w ludowej Czechosłowacji tytułem Artysty Narodowego.**

**Halas przyswoił kulturze czeskiej wiele arcydzieł poezji polskiej. Przetłumaczył m. in. „Pana Tadeusza", „Dziady", „Grażynę" i „Konrada Wallenroda" Mickiewicza. W r. 1947 odznaczony został przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej orderem „Odrodzenia Polski" za zasługi położone dla sprawy pogłębienia przyjaźni polsko-czechosłowackiej. W r. 1948 otrzymał nagrodę Polskiego Pen Klubu za niezrównane przekłady dzieł Mickiewicza.**

**Żegnamy w Halasie wielkiego przyjaciela Polski, jednego z najwybitniejszych liryków współczesnej Czechosłowacji, pisarza, który stanął po stronie walczących mas ludowych, a literaturze wskazał drogę służby: „poeci, naszą nadzieją lud".**

### WIERSZE

**Wyschły z pragnienia gniewu**
**za wami, biedni, kroczę,**
**straciłem źródło śpiewu**
**i więcej go nie zoczę.**
**Wyschły z głodu tęsknoty**
**pragnę już tylko krzyczeć,**
**długi był czas niemoty,**
**tego się nie doliczę.**
**Spalony ogniem grozy,**
**który podpala ciemność,**
**chcę wierzyć i chcę tworzyć**
**jak inni razem ze mną.**
**Wygnany z kraju marzeń**
**Schronienia szukam w tłumie**
**pieśń ma z przekleństwem w parze**
**bo innej już nie umiem.**

**(1936)**

**przełożył K. A. Jaworski**

LEONARD SOBIERAJSKI

# LIPCE REYMONTOWSKIE (III)*)

I

W pierwszych dwóch częściach naszego szkicu o Reymoncie staraliśmy się—oczywiście bez pretensji do wyczerpania sprawy — znaleźć dla autora „Chłopów" określone, konkretne środowisko ideologiczne.

Lata przełomu XIX i XX w. to czas zaostrzenia się walki klasowej na terenie całego imperium carskiej Rosji, a więc i na terenie Kongresówki. W naszych stosunkach jest to okres ostrego różnicowania się postaw ideologicznych. Katalizatorem jakby jest rok 1905. Dla tych lat charakterystyczne są słowa Lenina, że nie istnieje jakaś pośrednia, ponadklasowa ideologia. Jest ideologia burżuazyjna i ideologia socjalistyczna. Podpisać się można tylko pod jedną z nich. Linia twórczości Reymonta to zarazem linia uwyraźnienia się przyjętej przez niego ideologii. „Ziemia Obiecana", „Chłopi", „Rok 1794" — to etapy coraz bardziej zdecydowanego zamykania się autora w ideologii burżuazyjnej. Wydaje nam się, że wnikliwy krytyk, który by przeprowadził bystrą analizę trzech wielkich dzieł Reymonta, rozpatrując je od strony ideologicznej i artystycznej, mógłby wyniki swych badań przedstawić po prostu graficznie. Badając twórczość Reymonta od strony treściowej będzie on notował w następujących po sobie dziełach coraz większe nasilenie elementów, uwarunkowanych ideologią burżuazyjną — da mu to w rezultacie linię podnoszącą się. Ostatni utwór Reymonta „Bunt" będzie stanowił najwyższy i zamykający punkt tej linii. Badając te same dzieła i w tej samej kolejności od strony walorów artystycznych otrzyma on coraz słabszą punktację — wyznaczającą linię opadu. „Bunt" — ostatni wyraz ideologicznego „rozwoju" autora — będzie na tej linii punktem najniższym.

Celem wcześniejszych naszych rozważań nad Reymontem było pokazanie linii „awansu społecznego" autora „Chłopów". Linię tego awansu wyznaczał system kapitalistyczny. Przez pisarstwo (o odpowiednim ciężarze usługowym) można było nawet drobnomieszczaninowi i chłopu wejść do klasy posiadającej. Reymont — jak wiemy — nie zadowolił się uznaniem przez burżuazję jego pozycji społecznej z tytułu jego pisarstwa. Pragnął on ekonomicznie i towarzysko zrównać się z ludźmi klasy panującej. Osiągnął to przez kupno majątku Kołaczkowo, gdzie jako równy z równymi mógł przyjmować i podejmować przyjaciół nie tylko związanych z nim ideologicznie, ale mających wspólne interesy klasowe. Ten punkt dojścia Reymonta ma swoją wymowę. Musiał on naturalnie zaważyć nad całą „drogą życiową" autora. Pragnienie awansu, który mógł być tylko awansem do burżuazji, zmuszało do poszukiwania ideologii, wyrażającej interesy klasy posiadającej. Reymont, znajdując udany wyraz literacki dla tej ideologi — zdobywa wśród ziemiaństwa i inteligencji mieszczańskiej (prawem wyrównania usług) pozycję: społeczną, ekonomiczną i towarzyską. Ta z kolei kazała mu ujmować rzeczywistość współczesną i historyczną z punktu interesu tej klasy, w którą wszedł. Możemy założyć hipotetycznie, że to właśnie już wcześniej określiło jego pisarstwo.

Dotychczasowe nasze rozważania potwierdziły tę hipotezę. Reymont od początku swej drogi pisarskiej ideologię burżuazji przyjął za swoją. Narazie staraliśmy się udowodnić to przy pomocy dwóch elementów: 1) wykazaliśmy ideologiczne powiązania Reymonta z grupą „Głosu", udowodniliśmy jego związki z ludźmi, reprezentującymi interesy ziemiaństwa, które na naszym gruncie w zroście z inteligencją mieszczańską dawało stop naszej rodzimej burżuazji, znajdujący swój polityczny wyraz w narodowej demokracji z Romanem Dmowskim na czele. 2) Wykazaliśmy, jaką funkcję społeczną spełniało dzieło Reymonta właśnie ze względu na klasowe interesy burżuazji. Obecnie przyjdzie nam zająć się samym dziełem, by przy pomocy analizy jego: 1) zawartości treściowej i 2) kształtu artystycznego, w jakim te treści się zawarły — otrzymać potwierdzenie dotychczasowego toku rozważań. Oczywista z racji publikacji artykułowej musimy zrobić to fragmentarycznie, pozostawiając sobie prawo pełnej dokumentacji naszej tezy do innej już okazji.

II

Prof. Kazimierz Wyka w swoich rozważaniach nad Reymontem doszedł do wniosku, że *„Chłopi" są „utworem wątpliwym"*. Chętnie pod ten sąd się podpisujemy z zastrzeżeniem uściślenia jednak samego terminu: *„utwór wątpliwy"* i propozycją — co dla nas ważniejsze — innej motywacji wniosku. Bo dla nas „Chłopi" Reymonta, przy metodzie badawczej, jaką próbowaliśmy zastosować — są dziełem o zupełnie określonej wartości, lokata jego nie nasuwa w nas nawet cienia wątpliwości.

Diagnoza prof. Wyki, że dzisiejsza proza nie powinna nawiązywać do tradycji Reymonta — jest słuszna. Trudno nam jednak zgodzić się na przesłanki, które do tej diagnozy doprowadziły.

Prof. Wyka staje na stanowisku, że twórczość Reymonta, tak ze względu na pisarzy, którzy przecież muszą nawiązywać do naszej tradycji literackiej, jak ze względu na czytelnika dzisiejszego — stanowi jakiś niższy stopień poznania prawdy o obiektywnej rzeczywistości np. w stosunku do ...Prusa. Tłumaczy to brakiem dostatecznej wiedzy u autora „Chłopów". Wynikałoby stąd, że gdyby Reymont — powiedzmy — posiadał wiedzę Ludwika Krzywickiego, byłby zdolny napisać dzieło o wsi, które dałoby obraz, zgodny z rzeczywistością historyczną.

Zastosowanie do Reymonta — jak to robi prof. Wyka — powiedzenia Stendhala, że „powieściopisarz to przechadzające się po gościńcu zwierciadło" — ma swoją słuszność tylko w części. Wolelibyśmy raczej użyć w stosunku do autora „Chłopów" innego porównania, że jest on kliszą, ktora wszystko odbija, ale na której procesy „wywołania" dokonują się zgodnie ze świadomą wolą autora. Na „zdjęciu" widzimy tylko tyle i w takim układzie i proporcjach, jak wymaga tego potrzeba. Potrzebę zaś warunkuje właśnie przyjęta przez Reymonta ideologia. Prawo to nie działa bez odchyleń. Te odchylenia na szczęście u autora „Chłopów" istnieją. One to naraziły go na „afront" ze strony — jak podaje publicysta „Głosu" — deputacji ziemiańskiej, one to prawdopodobnie były powodem przypuszczalnych monitów ze strony ideologicznych mocodawców autora. Ale o tym później.

Jeżeli Reymont kreślił obraz wsi częściowo tylko zgodny z rzeczywistością historyczną, jeżeli proporcje w tym obrazie są bardzo dowolne — to nie wyjaśni się tego ani jego „instynktem artystycznym", ani jego specjalnym ustrojem wrażliwości zmysłowej. Nie wyjaśni się tym bardziej przez zaszeregowanie go do szkoły naturalistów. Trudno mieć pretensje do Reymonta, że nie pokazał on mechanizmu życia współczesnej mu wsi, dlatego — jak chce prof. Wyka — że był tylko „przechadzającym się po gościńcu zwierciadłem".

Reymont rozpoczynał „wiedzą konstruującą", ale wiedzą służącą nie interesom podstawowych mas chłopskich, ale właśnie klasie posiadającej. Jego obraz wsi był świadomie konstruowany z pozycji tej klasy. Zobaczymy jaka jest dialektyka reymontowskiego ujęcia Lipiec?

III.

„Chłopów" Reymont pisał na przestrzeni kilku lat i to lat — jak powiedzieliśmy — wymagającej się walki klasowej, lat w których burżuazja coraz bardziej zaostrza swoją czujność wobec problemu wsi. Znalazło to swój pełny wyraz w dziele Reymonta. Dzisiaj można z niego odczytać właśnie poprzez jego zmieniającą się koncepcję, poprzez wprowadzenie w dzieło nowych wątków, poprzez zupełnie inne, już w trakcie pisania, ustawianie postaci — jakie motywy kierowały autorem, gdy właśnie tak konstruował swoją wizję Lipiec.

W pierwszej części „Chłopów" którą Reymont pisał prawdopodobnie około 1900-nego roku, na pierwszym planie ustawiony jest bogacz wiejski — Boryna. Czy dlatego autor na nim skoncentrował swą uwagę, że miał — zainteresowania dla folkloru. Nie. Motyw według nas jest inny. Chodziło o pokazanie ziemiańskiemu czy inteligencko-mieszczańskiemu czytelnikowi ich ewentualnego sprzymierzeńca. I dlatego w tej partii książki zarysowany on jest prawdziwie. W drugiej części z Boryną zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Przypominamy sobie jego początkowe zachowanie się w sporze o las. Boryna nie występuje jeszcze wtedy solidarnie z gromadą. Wykręca się, ogląda na pozostałych potentatów Lipiec, kluczy na własną rękę, nie deklaruje swojego uczesnictwa w akcji, którą proponowali średniacy z Kłębem na czele. Boryna wówczas pragnie wyraźnie wejść w jednostkowe pakty z dziedzicem, tak jak robił to młynarz, wójt czy kowal. Widzi w tym swój interes, widzi w tym perspektywę na „uhonorowanie". Zaszczyt dla siebie znajduje w ewentualnej rozmowie z przedstawicielem szlacheckiego dworu, który dla własnych interesów zajeżdża przed chłopski, młynarzowy dom. Nie można powiedzieć, żeby Boryna tym postępowaniem zjednał sobie zaufanie gromady. Cóż więc po takim sprzymierzeńcu! Bogacz Boryna cenny będzie dla burżuazji tylko wtedy, jeżeli on będzie kierował społecznością wiejską i to właśnie wtedy, gdy w niej zaczyna narastać świadomość klasowa, gdy zaczyna ona dojrzewać do rewolucji demokratycznej. Tu widzimy pierwszą interwencję z zewnątrz. Mocodawcy Reymonta przyglądali się pilnie Borynie i oni to kazali mu jednak stanąć na czele gromady. Odtąd będzie się o nim mówiło, że zginął za gromadę, on bogacz wiejski — wzór chłopskiej solidarności. Zufanie średniorolnych i biedniaków dla kułaka zostało przywrócone, zatarta sprzeczność interesów klasowych wewnątrz wsi. Sprawa posunie się jeszcze dalej. Boryna będzie prawie że beatyfikowany w końcowym obrazie śmierci przez wizję Piasta — oracza, no i w kazaniu księdza plebana. W tym momencie została lekko potrącona struna, że przecież Boryna kiedyś stawał w dobrej sprawie ręka w rękę z panami — jako młody jeszcze chłop znalazł się w powstaniu. Istnieją więc punkty styczne między dworem i wsią. On Boryna to rozumiał — prawy Polak i dobry katolik.

Musimy przyznać, że Reymont swoją „wiedzą konstruującą" operował tu w myśl ideologii burżuazyjnej zupełnie zadawalająco.

Przypatrzmy się teraz innemu zagadnieniu.

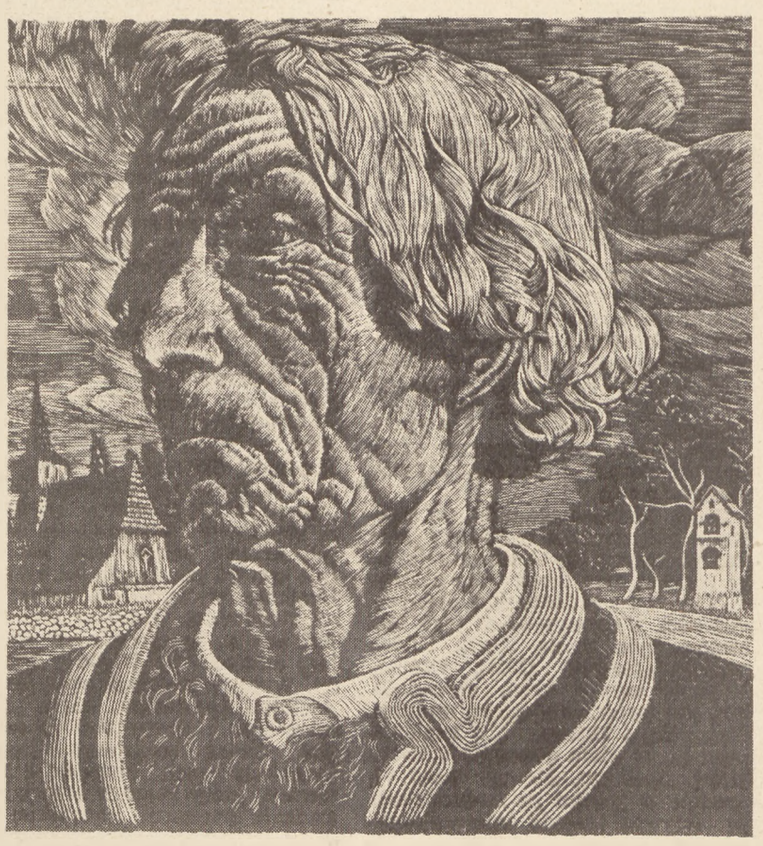

Wł. Skoczylas — Głowa górala. 1913 r.

T. Kulisiewicz — Domy na uboczu. 1934 r.

T. Kulisiewicz — Macierzyństwo. 1934 r.

W trzeciej i czwartej części „Chłopów" opowiadanie o Lipcach — jak mówią krytycy — „rozlewa się szeroko". Autor wysuwa tu większą ilość postaci, wprowadza nowe wątki, bogaci tło. Gromada ma już więcej wyraźnie określonych, zindywidualizowanych bohaterów. Obok Antka widzimy Grzelę, Mateusza, który z wiejskiego donżuana staje się nagle chłopem „przecykającym się — jak mówił Weysenhoff — do obywatelstwa". Jakie siły reprezentują ci bohaterowie, i jak się obecnie formuje ich świadomość? Na pierwsze pytanie odpowiemy krótko. Są to prócz Antka na ogół średniacy. Uznają oni jego przywództwo. Są młodzi i troszczą się o los swojej wsi, której na skutek działów rodzinnych braknie wkrótce ziemi. Tu następuje w stosunku do dzieła druga interwencja z zewnątrz. Przypominamy, że te części dzieła pisze Reymont w atmosferze 1905 roku. Sprawą zasadniczą dla Lipiec w „Jesieni" i „Zimie" był konflikt z dworem o las. To mobilizowało gromadę, konstytuowało jej świadomość klasową, odkrywało wspólnego wroga. Dwór dotykał w równym stopniu — w ujęciu Reymonta — i biedniaka i bogacza z Lipiec. Boryna przez dwór traci krowę, przegrywa z dworem proces. Z tym wątkiem należało skończyć. Podsunąć na jego miejsce inny. Chłopi lipeccy, powracający z więzienia, zapominają o tym, przez kogo się tam dostali. Reymont będzie pokazywał ich uniesienie w pracy, ich radość, że są już na swoich polach i w swoich obejściach, potrzebujących ich troskliwej ręki. Uczucie krzywdy, widzenie wroga klasowego „rozpłynęło się po kościach". W tej sytuacji Reymont zacierając konflikt klasowy, wysunie przed gromadą sprawę narodową, wskazując znów na zrost z sąsiednim dworem we wspólnej obronie przeciw Niemcom — kolonistom. Podlesie przecież wbrew woli dziedzica wpada w ręce kolonistów niemieckich. Ma on wobec nich zobowiązania pieniężne, których nie jest w stanie uregulować. Chłopi potrzebują ziemi. Jeżeli już chcą o nią walczyć, niech walczą z Niemcami, a dziedzicowi niech pozwolą ich spłacić przez pójście na kompromis w sprawie wyrębu lasu. Przez zmuszenie kolonistów do opuszczenia Podlesia gromada ma pełne poczucie zwycięstwa. Potrzeba walki o poprawę swego bytu, o stworzenie jakichś perspektyw dla siebie, została przez autora „Chłopów" zręcznie skanalizowana. To przecież nie dwór stoi gromadzie na przeszkodzie, to Niemcy — wspólny wróg narodowy. Przypominamy sobie w tym miejscu taktykę obozu naszej burżuazji. Problemem narodowym starała się ona odciągnąć chłopstwo od walki klasowej. Reymont nie omieszkał wprowadzić tego punktu do swojej powieści, dając chłopom lipeckim rekompensatę, że to oni właśnie biorą na swoje barki sprawę narodową, że oni walczą o polską szkołę, że dzięki temu wszystkiemu czują swoją moralną wyższość wobec dziedzica, którego przodkowie „zaprzepaścili Polskę".

I jeszcze na jedną sprawę chcemy zwrócić uwagę. Czy Reymont swoim chłopom lipeckim podsuwa mit o własnej, zdobytej „uczciwą pracą" parceli? Podlesie jest wolne. Lipczaki Niemców „wyszczuli". Rezultat walki, którą prowadziła cała gromada, której bohaterami byli często najbiedniejsi? — Oto co zamożniejsi młodzi gospodarze mogli nabyć parcele na „oswobodzonym" Podlesiu. Biedoty i drobnorolnych w Lipcach jest sporo. Reymont od czasu do czasu, zwłaszcza przy okazji przednówka, natrąca, że w wielu chałupach nie było co do garnka wstawić. Cóż więc tu dopiero mówić o gotowym groszu. Kto zebrał owoce walki? Na co lepszych gruntach osiedli synowie zosobniejszych średniaków: Płoszkowie, Kłębowie, Grzelowie, najcenniejsza parcela dostała się wiejskiemu pośrednikowi — kowalowi. Reymont tę rzeczywistość zakrywa, wysuwa natomiast na pierwszy plan bohatera nowej kolonii — Szymka Dominikowej, który nawet „wbrew radom dziedzica" kupuje za wiano i naturalnie z długiem hipotecznym sześć mórg najnędzniejszej, piaszczystej i kamienistej ziemi. No i Szymkowi się powodzi, bo przecież chłop, byle tylko mógł zdobyć (a im był biedniejszy, tym ziemia dla niego, jak poucał Grabski, miała większą cenę) najlichszą bodaj parcelę — to jakoś tam daje sobie radę. A nawet dopiero wtedy ma okazję pokazać swoją wartość. Oto sens „wątku" Szymka. Reymont z najwyższym rozrzewnieniem i aprobatą przygląda się „nowemu gospodarzowi", który „idzie w górę". Szymek jest tu nowym wzorem chłopa, któremu daje się szanse awansu na gospodarza.

Oto kilka tylko punktów, które między innymi wyznaczają zawartość treściwą dzieła. Charakterystyczne dla reymontowskiej powieści o wsi są momenty, które nazwaliśmy odchyleniami. Mimo wysiłków szybkiego ich zacierania, wprowadzają one w dzieło materiał, który ratuje je dla dzisiejszego czytelnika. Te momenty pochodzą od Reymonta, który pod naciskiem prawdy mimowoli wpadał w rolę „przechadzającego się po gościńcu (wiejskim) zwierciadła". To one dla nas dzisiaj nadają wartość dziełu, to one pozwalają w Lipcach rozeznać wieś kapitalistyczną. Jak możemy na ich podstawie zrekonstruować sobie obiektywny obraz Lipiec zobaczymy dalej.

(c. d. n.)

*Leonard Sobierajski*

*) Patrz „Wieś" Nr 44 i 45.

**W NUMERZE 45 (224) TYGODNIKA „WIEŚ" z dnia 7 listopada 1949 r.**

Wskazania na wczoraj, dziś i jutro. — Kronika wielkich dni. **Mikołaj Gribaczew** — Kołchoz „Bolszewik". **Konstanty Fiedin** — Niezwykłe lato. **Tadeusz Orlewicz** — Drogi budowy ustroju kołchozowego. **Pablo Neruda** „Zbieg". **Leonard Sobierajski** — Reymont wśród wychowawców. **Wiesław Jażdżyński** —Aby przysporzyć bogactwa krajowi. **Roman Bratny**— Lista płacy i ile odkładam. **Edmund Niziurski** — Radziecka powieść z frontu pracy. **Juliusz Rucik** — O latach i barwach. **Edward Martuszewski** — Rozmowa o filmie. **Marian Muszkat** — Na marginesie mitu o wyższości cywilizacji zachodu. **Stanisław Cieślak** — Opowieść o budowniczych nowych ludowych Chin. **Leszek Goliński** — Ojciec pierwszej republiki. **Maciej Koliba** — Nie zacierać problemu teatru amatorskiego. **J. Rudzki** — W oczach Amerykanina. **Władysław Leszczyński** — Apologeci Czang-Kai-Szeka. **Marcin Furmanek** — Murzyńskie bajeczki. **Hilary Jankin** — Wspomnienia.

JÓZEF POGAN

# NAUCZYCIEL W MAŁEJ WIOSCE

Zwiedzając niedawno okolice Nysy, trafiłem do paru maleńkich wiosek; między innymi do wioski W., oddalonej o 22 kilometry na południowy-zachód od Nysy. Zwiedziwszy tam szkołę, świetlicę, koło ZMP, Samopomoc Chł. i PZPR — spostrzegłem ciekawe zjawisko, charakterystyczne w pewnej mierze dla maleńkich wsi w całej Polsce.

Wioska W. liczy 46 rodzin (217) mieszkańców). Wiadomo więc, iż w tak małej wiosce, na 24 uczniów wystarczy jednoklasowa szkółka z jednym nauczycielem ,bo dzieci, opuszczające czwarty oddział, pójdą do szkoły podstawowej w większej, sąsiedniej wsi. Zrozumiałe. Chodzi jednak o to, iż w tej wsi, prócz nauczyciela, nie ma już żadnego inteligenta, co nie znaczy — uświadomionego społecznie człowieka. „Chyba to nie prawda — pomyśli niejeden. — Cóż by to była za wieś?" Takie pytanie wymaga prostego wyjaśnienia: w małej, czysto-rolniczej, zbyt oddalonej od miasta wiosce, gdzie nie ma urzędu gminnego, poczty, skąd nie można codziennie dojeżdżać do pracy biurowej w mieście, choćby się kto z tej wioski nieco wykształcił — siłą rzeczy już do niej ze szkół nie wraca, bo nie ma po co. (W większych wioskach bywa nieco lepiej: ktoś zostanie w urzędzie gminnym, na poczcie itp). W takiej wiosce jedynym inteligentem jest tylko nauczyciel i on też, poza swoją pracą szkolną, mógłby jakoś wsi społeczno-kulturalnie pomagać. (Nie koniecznie musi się wprzęgać do tej pracy; grunt, by był inicjatorem pożytecznych czynów i nadawał wsi postępowy kierunek.

W szkole podstawowej pod okiem zdolnego i uświadomionego kierownika — trochę słabszy czy lepszy nauczyciel, będzie prawie jednakowo pożyteczny, gdy natomiast przy braku kierownictwa — różnica pracy słabszego, czy lepszego nauczyciela będzie kolosalna. Słabszy nawet i dziećmi czterooddziałowej szkoły nie potrafi należycie pokierować, nie mówiąc już o społeczno-kulturalnej pracy w całej wsi Dla zadokumentowania tego twierdzenia posłużmy się faktycznym przykładem, jaki właśnie zaobserwowałem w owej wiosce W.

Jest tam młody nauczyciel S. W tym roku ukończył liceum i został tam przydzielony. Zdaje się pilny i pracowity w swej pracy nauczycielskiej. Ale już jego skargi, że „dzieci nie chcą go słuchać".. że „się kiepsko uczą"... — nasuwają pewne podejrzenia, co do jego zdolności wychowawczych. Możliwe, że i w szkole podstawowej też by go „dzieci nie słuchały i kiepsko się uczyły", choć być może, wpływ kierownika coś by tu zaważył. Chodzi jednak o rzecz ważniejszą: o to, że ów nauczyciel też poza szkołą nic nie może zrobić. Uskarżał mi się. „Chłopi mię nie szanują... nie słuchają mych rad.. uważają mnie za mało pożytecznego"... Wierzę w to, lecz rację przyznaję właśnie chłopom. Bo proszę sobie wyobrazić: po wieczornej z nim rozmowie przyrzekłem go nazajutrz z rana odwiedzić. Zaszedłem dwadzieścia minut po siódmej. Leżał jeszcze w łóżku, mówiąc, że „sobie fest z jakimś tam kompanem popił". Żałował też, że mnie „ta okazja ominęła". Zdziwiły mię te niepotrzebne i naiwne jego „wspomnienia" z pijackiego wieczoru, a jeszcze bardziej ten niby żal, że „mnie ta okazja ominęła". Gadamy sobie przez chwilę i od słówka do słówka przygadało się o szkaplerzu na jego szyi. Wyjaśnił mi dobrodusznie, iż „ten szkaplerz uchronił go w czasie wojny od wywiezienia do Niemiec". Pożegnałem go, obejrzałem salę szkolną i poszedłem dowiedzieć się czegoś od chłopów.

Po chwilowej rozmowie z działaczami partyjnymi i organizacyjnymi, moje zastrzeżenia co do owego nauczyciela całkowicie się potwierdziły. Nie należy do żadnej partii politycznej, ani do żadnej organizacji. Żyje luzem, choć niby próbuje po trosze nawiązać kontakt z chłopami. Nawet sołtysowi pomoże czasem w papierkowej robocie.

Pozaszkolna „działalność" owego nauczyciela chyba nie wymaga komentarzy. „Fest popicie", próba zaprzyjaźnienia się z chłopami, papierkowa robota u sołtysa, plus mocna wiara, że „szkaplerz uchronił go od wywiezienia do Niemiec" — dają dość sporo do myślenia. To wszystko bez przynależności partyjnej, organizacyjnej, poważniejszego zainteresowania potrzebami wsi, bez rzucenia zdrowej inicjatywy — jest wielkim minusem. Lepiej przecież, by się zamknął samotnie w mieszkaniu, czy chodził wieczorami po polach i dumał nad „cudowną mocą szkaplerza" i liczył na niebie gwiazdy.

W powyższym przykładzie nie mam wcale zamiaru piętnowania bezpartyjnych nauczycieli, uważam, że nie należy kategorycznie wymagać od nich tego, do czego nie są zdolni na co im przepojone „katolicyzmem" sumienie nie pozwala. Najpierw muszą się społecznie i politycznie wyrobić i otrząsnąć z pewnych absurdów kościelnego wychowania. Sądzę, że wiele by się zyskało, gdyby „niedopieczonych" jeszcze nauczycieli, niewyrobionych społecznie i wątpliwych politycznie, władze szkolne przydzielały do szkół podstawowych pod zdolne kierownictwo, a do jednoklasówek w małych „zapadłych" wioskach, gdzie brak ludzi uświadomionych, przydzielały nauczycieli pod każdym względem wartościowych — na front!

**Józef Pogan**

STEFAN TREUGUTT

# GOETHE A NIEMCY DZISIEJSZE

Powstanie demokratycznej republiki niemieckiej, fakt bezsprzecznie przełomowy w dziejach naszego zachodniego sąsiada, tak zwanego „zagadnienia niemieckiego" bynajmniej nie rozwiązuje. Zagadnienie to będą musieli postępowi Niemcy rozwiązać sami.. Idzie tu o likwidację społecznych i politycznych pozostałości gospodarki kapitalistycznej o wykorzenienie wieloletnich tradycji ideologicznych bismarkowskiego i hitlerowskiego imperializmu. o walkę ze skutkami hitlerowskiego wypaczania psychiki ludzkiej, wreszcie o zagadnienie „neofaszyzmu" w zachodnich strefach Niemiec. Trudno bowiem odmówić słuszności publicystom wschodnich Niemiec,, gdy rewizjonistyczne i nacjonalistyczne zapędy wyznawców polityki dolarowej nazywają właśnie neofaszyzmem. Niemcy Piecka i Grotewohla, których powstanie z taką radością witaliśmy niedawno, będą musiały wyzwolić siły społeczne zdolne do przeprowadzenia zwycięskiej walki o przyszłość swego narodu. Te siły społeczne, to wielomilionowy proletariat robotniczy niemiecki, proletariat mający wielkie tradycje walki klasowej za sobą, ale też i najperfidniej oszukiwany przez nacjonalistycznych ideologów, wstrząśnięty głęboko ostatnią wojną, gnębiony obecnie w zachodnich strefach zaostrzającym się ciągle kryzysem gospodarczym. Na kryzys zaś neofaszyści z Bonn mają skuteczne lekarstwo — nowa wojna, wojna odwetowa.

Postępowi Niemcy z niemiecką klasą robotniczą na czele podjęli od 1944 r. walkę o to, by Niemcy były własnością ludu, by niemiecka polityka wynikała z interesów szerokich mas ludności. Walka ta uwidoczniła się w sposób niezwykle charakterystyczny w związku z niedawnym obchodem 200-lecia urodzin Gothego. Nie jest to ani przypadek ani dowolne aktualizowanie spuścizny po wielkim poecie.

Dotychczasowa wiedza o Goethem miała charakter wybitnie reakcyjny i rewizja poglądów na twórczość wielkiego Weimarczyka jest zagadnieniem wielkiej wagi dla niemieckiej kultury umysłowej. Pytanie, czy nie większej nawet, w skali swej doniosłości społecznej, niż analogiczna u nas rewizja dotychczasowej oceny „wieszczów".

Wpływ i oddziaływanie Goethego na niemiecką literaturę, a co za tym idzie na niemiecką kulturę, są trwałe i bardzo znaczne. „Wiadomo — pisze prof. H. Mayer w artykule pt. „Spadek po Goethem", zamieszczonym w nr 15 **Neu Welt** — że historię niemieckiej powieści.. można by identyfikować z historią oddziaływania, lub lepiej, nieoddziaływania Wilhelma Meistra". „Przez nieoddziaływanie" rozumie prof. Mayer słabnięcie w niemieckiej powieści wysokich wartości ideowo-wychowawczych, tak żywych w powieści Goethego. Prof. Mayer ukazuje jak poprzez powieści Gottfrieda Kellera, Immermanna, Freytaga, Wilhelma Raabe, schodzimy coraz niżej aż do pesymistycznej koncepcji „Rodziny Buddenbrooków" Tomasza Manna. Nie jest to jednak „nieoddziaływanie", lecz właśnie wpływ, kształtujący się zgodnie z postępującym rozkładem ideologii mieszczańskiej. Trudno postulować, by wielki realista i trafny obserwator upadku burżuazji niemieckiej, Mann, patrzył na społeczeństwo tak jak Goethe, największy poeta początkowych stadiów rozwoju i emancypacji niemieckiego mieszczaństwa spod jarzma feudalnych przeżytków. Mann, pesymista w „Buddenbrookach" jest tylko realistą, kontynuującym tradycje powieści Goethego.

O wiele donioślejszy jest wpływ Goethego na poezję niemiecką. Przedstawiciele żadnej z późniejszych formacji literackich nie mogli przejść obojętnie obok spuścizny Goethego. Przybyszewski w „Moich współczesnych" widzi w modernistycznej cyganerii niemieckiej magiczny jakiś krąg Goethego, z którego literaccy dekadenci ani rusz nie mogli wybrnąć. Do wielkiego twórcy „Fausta", tak jak i do Schillera, nawiązywali formalnie, a w swoim rozumieniu nawet i ideowo pismacy reżimowi narodowego socjalizmu. Oczywiście dziać się to mogło tylko przy zasadniczym skrzywieniu wielkiego dorobku ideowego poety.

Tak sobie wielkiego humanistę, człowieka kochającego życie i umiejącego je mistrzowsko interpretować „przykroili" do swoich potrzeb bismarkowscy mieszczanie, potem zaś czciciele czystej i poza popędem seksualnym, abstrakcyjnej, sztuki, a wreszcie rasiści? O ile chodzi o zewnętrzne „przyswojenie sobie" twórczości Goethego, to odbywało się to wśród zamożnego mieszczaństwa bardzo prosto. Poetę ustawiano w luksusowych wydaniach na honorowym miejscu w szafach i podziwiano jako przedmiot narodowej chluby, czytano zaś coraz mniej. W zakresie ideologicznej interpretacji rozpoczęli ożywioną działalność niemieccy uczeni. I tu właśnie okazuje się, jak słynna z „obiektywizmu", „czysta nauka" niemiecka czuła była na zagadnienia polityczne i jak potrafiła do nich swe metody badawcze dostosowywać. Ta — podziwiana jeszcze gdzieniegdzie u nas — „dobra niemiecka szkoła".

Reprezentatywną pozycję stanowić może „Historia niemieckiej literatury" Wilhelma Scherera, znana i u nas oraz uważana do dziś za pierwszą współczesną, naukową historię literatury w Niemczech. Autor, po skrupulatnych badaniach filologicznych, przechodzi do badań nad genezą twórczości Goethego i wywodzi ją, jak i cały współczesny okres świetności literackiej, z „czynów Fryderyka Wielkiego". Ta historyczna ocena prusactwa jako pozytywnego czynnika w rozwoju Niemiec i zestawienie „wielkiego Fryca" z wielkim Goethem jakże znamienne są w ustach bismarckowskiego profesora literatury! I Scherer i z jego szkoły wyrosły autor biografii Goethego (1913) Richard M. Meyer uważają poza tym, iż szczególnie korzystnym dla autora „Goetza von Berlichingen" był pobyt na weimarskim dworze Karola Augusta. Kontakt z arystokracją miał mieć jakiś uszlachetniający wpływ na Goethego. Wyglądało by to na ironię wręcz, gdy zdamy sobie sprawę że stopnia rozkładu, jakiemu ulegały dwory 290 niemieckich pół-feudalnych i półmieszczańskich państewek. Lecz brzmi to zupełnie serio w ustach burżuazji niemieckiej serwilistycznej wobec dworu i marzącej o awansie do kręgów arystokracji. By skończyć z smętnym okresem „narodowo-liberalnego" okresu nauki niemieckiej, warto zacytować jako curiosum sąd wspomnianego Scherera o „Fauście". Uważa on, iż jest to koncepcja pochodząca z młodzieńczego jeszcze okresu Goethego, który we Fryderyku Wielkim czci „ideał czynnego życia".

Impresjonizm w krytyce literackiej pozostawił nam inny znów wizerunek Goethego. Zgodnie z dekadenckimi koncepcjami estetycznymi trzeba było Goethego oderwać radykalnie od wszelkich warunków społecznych, stworzyć z niego wielkość „samą w sobie", zrozumieć jego przeżycia pierwotne". Nie była to bynajmniej negacja utylitarnego wyzyskania i interpretacji Goethego przez wcześniejszą krytykę mieszczańską. Wręcz przeciwnie — była to afirmacja nowego stosunku kultury burżuazyjnej do sztuki. Brakowi perspektyw rozwojowych kapitalizmu i brakowi już w początkach XX wieku atrakcyjnych haseł politycznych odpowiada koncepcja „sztuki dla sztuki", koncepcja odrealniania sztuki i mitologizowania samego twórcy.

Droga od Goethego-mitu, od koncepcji nadczłowieka opętanego „szałem twórczym" do Goethego-mitologa rasizmu była łatwa i nie nastręczała też nauce hitlerowskiej żadnych trudności. Ukoronowaniem tych zabiegów było dzieło Kurta Hildebrandta „Goethe" (1941). Goethe, aryjczyk czystej krwi, zapowiada całą swą twórczością epokę wodzów, Bismarcka i Hitlera. Nie znajduje autor na to wielu dowodów w twórczości Goethego, ale od czego są przejęte w spadku po modernistach subiektywne metody interpretacyjne!

Wstecznej interpretacji twórczości Goethego wypowiedziano w demokratycznych Niemczech nieubłaganą walkę. Ślady jej znajdujemy we wszystkich nieomal próbach syntetycznego spojrzenia na Goethego z okazji ostatniego jubileuszu. Najpełniej dążenie to wyraziło się w rozprawie „Goethe w historii literatury" pióra Paula Rilla zamieszczonej w poświęconym Goethemu 16-ym numerze **„Neue Welt".** Autor pewnie operujący marksistowską metodą badania historyczno-literackiego, przeprowadza ocenę krytyków Goethego do Tomasza Manna włącznie. W tym samym numerze „Neue Welt" zamieszczone zostały obfite wyjątki z jubileuszowych przemówień wielkiego pisarza w 1932 r. (stulecie śmierci Goethego) i z tegorocznego w Weimarze. Znamienna różnica — w r. 1932 Mann usiłował pozytywne wartości ideologii Goethego rzucić jako hasło „uzdrawiające" niemieckie mieszczaństwo. Przewrót z 1933 r. mógł Manna dostatecznie pouczyć, czy „uzdrowienie" mogło wyjść od klasy, której był w Niemczech ostatnim wielkim literackim przedstawicielem W 1949 musi Mann nawiązać do wychowawczej wartości Goethego, wykraczającej daleko poza bezideowe koła schyłkowego mieszczaństwa — musi uznać postępową rolę twórczości Goethego.

Walka z wsteczną interpretacją twórczości nawet tak wielkiego poety jak Goethe, mogłaby się wydawać dość drobnym wycinkiem „bitwy o nowe Niemcy". Tylko pozornie. Aby podważyć bowiem tradycyjne sądy o pisarzu, trzeba jednocześnie dać nową, postępową interpretację zjawisk historycznych i społecznych. A to znaczy zaatakować pozycje, jakie dotychczas zajmował „Wielki Fryderyk, Bismarck, idealistyczna koncepcja narodu niemieckiego (tak, choć to brzmi nieco paradoksalnie, hitleryzm jako ideologia nierozerwalnie związany jest z idealistyczną filozofią niemiecką) — jednym słowem zaatakować w mentalności Niemca „prusactwo" — zjawisko o którym Marx dosadnie powiedział, że „czegoś bardziej wszawego historia świata nie widziała".

W ślad za zdecydowanym atakiem, negacją dotychczasowego poglądu na największego niemieckiego poetę, musiała nastąpić próba nowej oceny jego twróczości. Czytałem kilkanaście artykułów, krótszych lub dłuższych rozpraw, poświęconych — w związku z tegorocznym jubileuszem — ocenie Goethego. Trzeba podkreślić syntetyczny charakter większości rozpraw. Postępowa krytyka niemiecka postanowiła z chwalebną systematycznością uporać się najpierw z najważniejszymi zagadnieniami Goethego, z problematyką społeczno-historyczną, z obrazem ideologii poety i oceną jej historycznej i aktualnej wartości. Bardzo słuszne uwzględnienie hierarchii potrzeb w doborze tematu krytyki trzeba podkreślić z największym uznaniem — gdybyż to tak i u nas zaczęto pisywać przyczynki we właściwym czasie i we właściwych wymiarach!

Prace zawarte w jubileuszowych numerach literackich czasopism niemieckich są bezwzględnie poważnym materiałem do przyszłej, odpowiadającej współczesnej wiedzy literackiej, monografii Goethego. Analiza społeczna i polityczna okresu, w którym żył i działał Goethe (najciekawiej może przedstawiona w rozprawie A. Ackermanna: „Współobywatel przyszłości" drukowanej w 16 numerze „Neue Welt" i E. Fischera: „Goethe i nędza niemiecka" z Nr 8 — 1949 „Aufbau") opiera się na materialistyczno-dialektycznej metodzie i prowadzi do trafnych sformułowań. Słusznie podkreśla się różnice między oświeconym mieszczaństwem francuskim, a rozbitym państwowo i uzależnionym od rozkładającego się feudalizmu mieszczaństwem niemieckim. Artykuł H. Kamnitzera: „Weimar między Poczdamem i Paryżem" przekonywająco demaskuje junkierski absolutyzm państwa pruskiego. Autor wykazał , że sfrancuziały Fryz w praktyce politycznej nie realizował żadnych haseł „oświecenia" — dalej zaś, że młody, a również i dojrzały, Goethe ideowo był zupełnie obcy Hohenzollernom. Wszystkie znane mi rozprawy zwracają baczną uwagę na ideoogię mieszczańską okresu „burzy i naporu", na związki tej ideologii z francuskim ruchem mieszczańskim, podkreślają antyfeudalny charakter twórczości młodego autora „Goetza" i „Wertherа".

Duży kłopot sprawia trafne wyjaśnienie pełnego rezerwy stosunku Goethego do burżuazyjnej rewolucji francuskiej. Krytycy niemieccy podkreślają dysproporcję rozwoju ekonomicznego Francji i niezdolnych wówczas do żadnych ruchów rewolucyjnych Niemiec To słuszne, ale to nie tłumaczy, dlaczego Goethe „teoretycznie" chociażby nie sprzyja rewolucji? Nie grały tu żadnej roli uczucia patriotyczne, ale właśnie sprawa przynależności klasowej Goethego. Myślę, że dla trafnej oceny stanowiska Goethego konieczna jest analiza poszczególnych stadiów jego stosunku do Wielkiej Rewolucji. Wybuch rewolucji wita Goethe wielkimi nadziejami, karta „praw człowieka i obywatela" budzi w nim wręcz entuzjazm. Dopiero wzmożony ruch plebejski i okres terroru, który zagroził stanowi posiadania burżuazji francuskiej budzi jego sprzeciw. Nie jest ważne, że sprzeciw ten powstał w nim w imię abstrakcyjnego humanizmu, ważne natomiast, iż Goethe zajmuje tu dokładnie to samo stanowisko. co kontrrewolucyjna wówczas burżuazja francuska, która złamała jakobinów, wprowadziła wraz z rządami dyrektorów reakcyjny cenzus wyborczy i potulnie poddała się dyktaturze wojskowej Napoleona. A Napoleon, symbol prawnej stabilizacji panowania zwycięskiego mieszczaństwa, właśnie przez Goethego przyjęty był z entuzjazmem Goethe jest bardzo typowym przedstawicielem świata mieszczańskiego I w jego rewolucyjnym, „bohaterskim" okresie i w okresie stabilizacji. A tragizm jego pozornie „olimpijskiej" i spokojnej postawy wobec życia polega na tym, że zbyt trafnie to życie mieszczańskie obserwował. zbyt „humanistycznie" je cenił, by nie dostrzegać wyraźnych śladów bankructwa ideowego. Bankructwa ideowego otaczającego go kompleksu zjawisk, które Engels nazwał „nędzą niemiecką".

„...Goethe nie był w stanie przezwyciężyć nędzy niemieckiej — na odwrót, ona go pokonała i to jej zwycięstwo nad największym Niemcem jest najlepszym dowodem tego, że „od wewnątrz" tylko niczego się nie przezwycięży".

To sformułowanie Engelsa jest punktem wyjścia badań konfliktów ideowych Goethego-realisty. Niesłusznie też usiłują niektórzy ze wspomnianych krytyków dowieść, iż druga część „Fausta" jest jakoby przezwyciężeniem tej inercji życia mieszczańskiego. Jest to próba przezwyciężenia, ale właśnie „od wewnątrz" — oderwana od realnej bazy społeczno-ideowej, zmieniła się w ucieczkę w świat fantastyczny. Jest to w pewien sposób analogiczne do prób przezwyciężenia ciasnych ram ówczesnego realizmu mieszczańskiego przez Słowackiego. To przezwyciężenie też „od wewnątrz", bez wyraźnych możliwości poparcia, czy też raczej oparcia o postępową ideologię społeczną, zamieniło się, jak wiadomo, w ucieczkę w świat mistycyzmu historiozoficznego.

Wielokrotnie porusza postępowa krytyka niemiecka sprawę „spadku po Goethem". Trzeba jej oddać sprawiedliwość, iż w pełni jest tu zrozumiane i ocenione stanowisko ideologii marksistowskiej, przywiązującej tak wielką wagę do przyswojenia wartościowych elementów kultury burżuazyjnej kulturze proletariackiej. Sławne sformułowanie Lenina o „przyswajaniu wszystkiego co wartościowe w dwutysięcznym rozwoju ludzkiej myśli i kultury nowej kulturze socjalistycznej jest naczelną tezą w ocenie roli Goethego w życiu postępowych, demokratycznych Niemiec. Podkreśla się wielką rolę wychowawczą poezji Goethego i jego głęboko humanistycznego stosunku do człowieka. Nie obyło się jednak przy interpretowaniu roli Goethego-wychowawcy bez pewnych, nieznacznych naleciałości idealistycznych.

Jubileusz Goethego i walka o nową postawę wobec genialnego poety ma jeszcze jeden wyraźnie aktualny i wyraźnie polityczny aspekt. Oto nie można ani na chwilę zapominać, że w Niemczech zachodnich niemal oficjalnie progaguje się neofaszyzm, że wszystkie tradycje junkierskohitlerowskie kwitną tam w najlepsze, Jak tam wyglądał jubileusz Goethego? Należy zdać sobie sprawę, że wspomniane przeze mnie prace postępowych krytyków niemieckich są między innymi zdecydowaną odprawą wobec nowych prób antyhumanistycznej, wrogiej interesom kultury niemieckiej rewindykacji Goethego przez międzynarodową reakcję. Nie robi się tego wprawdzie tak rażąco bezceremonialnie jak w latach hitlerowskiego reżimu, gdyż i ambicje narodu panów zmalały. Goethe nie jest teraz prorokiem narodowego socjalizmu. Zmienił się w „boskiego olimpijczyka", doskonałego kosmopolitę i piewcę wyabstrahowanych uczuć ludzkich. Czy to nawrót do krytyki modernistycznej?

W pewien sposób tak, ale też chodzi tu o przemycenie bardzo aktualnych zagadnień kulturalno-politycznych. O coraz silniejszą penetrację burżuazyjnej i kosmopolitycznej pseudokultury, za którą stoi dolarowy kapitał.

Jubileusz Goethego w dość niespodziewany dla wyznawców „czystej nauki" sposób może wykazać, jak zagadnienia historyczno-literackie bardzo są „polityczne".

Krytyka marksistowska nowych Niemiec walczy jeszcze nie zawsze sprawnie i z trudnościami metodologicznymi i z trudnością oderwania się od wstecznej tradycji. Już teraz jednak wypełnia swe odpowiedzialne zadanie w wielkiej bitwie o nowe, twórcze w rodzinie demokracji europejskiej Niemcy.

**Stefan Treugutt**

ZDZISŁAW TOR

# POWIEŚĆ O NIEMCZECH*)

Wydana ostatnio przez „Czytelnika" książka Anny Seghers*) stanowi retrospektywne spojrzenie na dzieje Niemiec od roku 1919 aż niemal po ostatnią katastrofę.

Postacie książki reprezentują wszystkie, współcześnie trwające w Niemczech, klasy społeczne. Przy czytaniu uderza fakt, że najbardziej wnikliwie zostały scharakteryzowane postacie należące do środowisk: przemysłowców (rodzina Klemm), junkrów (von Wenzlow, von Lieven) i bogatych chłopów (Wilhelm Nadler). Te wszystkie grupy zespala wspólna, płynąca z klasowego egoizmu, nienawiść do rewolucji, do idei postępu reprezentowanej przez uświadomiony proletariat. Nienawiść zespala tych ludzi i czyni z nich ostoję szowinistycznej reakcji, a w skutkach — dźwignię ruchu hitlerowskiego. Bankierzy i przemysłowcy wiążą się z narodowym socjalizmem w nadziei, że zlikwiduje ich śmiertelnego wroga — klasowy ruch robotniczy, że zabezpieczy ich banki i fabryki, ich zyski, a w dalszej perspektywie odda na łup ich imperialistycznej zachłanności olbrzymie rynki zagraniczne. Chłop i obszarnik są zadłużeni, rolnictwem wstrząsa kryzys gospodarczy; poparcie więc ruchów nacjonalistycznych („Stahlhelm", hitleryzm) przez te grupy, wiąże się z nadzieją, że w chwili objęcia władzy, nastąpi oddłużenie wsi, że bankierzy, kupcy, przemysłowcy, spekulanci będą musieli ponieść ograniczenia na rzecz rolnictwa. Z głęboką przenikliwością obrazuje Seghers te sprzeczności. Z niemniejszym realizmem ujawnia nikczemny upadek moralny oficerów dawnej armii cesarskiej, a później Reichswehry. Ludzie ci gardzą Hitlerem — prostakiem — a przecież popierają go w nadziei że kiedyś uda się go odsunąć, a z kliki wojskowej uczynić decydujący czynnik w państwie.

Boleśnie zarysowuje się problem młodzieży, której większość staje po stronie brutalnego barbarzyństwa Wygłodniałej i bezrobotnej młodzieży hitleryzm daje doraźnie nie tylko pożywienie z kotła, ale łudzi też nacjonalistycznymi mirażami.

Tyle więc sił sprzysięgło się przeciw proletariatowi walczącemu o wolność, o chleb, o postęp społeczny. Po stronie walki o sprawiedliwość społeczną stoją jedynie: proletariat fabryczny i bezrolni chłopi. Dlaczegóż jednak ten świat pracy nie potrafił zdruzgotać sił reakcji? Odpowiedź na to pytanie została zawarta w książce Anny Seghers: Przywódcy socjal - demokracji niemieckiej zeszli z drogi rewolucyjnego marksizmu, zawierając sojusze z burżuazją. Za nimi poszedł poważny odłam proletariatu, ślepo ufający swym przywódcom. Głęboka przepaść ideologiczna dzieli więc socjal - demokratę Geschke'go od komunisty Triebla, a bezrolny chłop, Krystian Nadler. solidaryzuje się z proletariatem fabrycznym niejako konspiracyjnie. Rewolucyjny entuzjazm Geschke'go okazuje się bezużyteczny; kiedy w roku 1933 wyciągnie z ukrycia przechowywany karabin, by bronić sprawy wolności, nikt z przywódców partyjnych nie wezwie go na barykady — nie pozostanie nic innego, jak schować broń z powrotem.

Rozdarcie ruchu robotniczego, niedostateczny sojusz robotników z proletariatem wiejskim, to istotnie czynniki, które w Niemczech umożliwiły dojście Hitlera do władzy.

Książka jednak pozostawia wrażenie optymistyczne. Męczeństwo komunisty Triebla w obozie koncentracyjnym i tragiczny smutek socjalisty Geschke'ego posiadają swoje głębokie znaczenie. Róża Luxemburg, Karol Liebknecht i ta bezimienna rzesza klasowo uświadomionych robotników niemieckich to żywa tradycja, to nici przerwane brutalnie, do których w procesie wychowania narodu niemieckiego można i powinno się nawiązać. Obserwując działalność SED we wschodniej strefie Niemiec, oglądając powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, mamy przekonanie, że Niemcy odnajdują swe miejsce w światowym obozie pokoju i demokracji.

**Zdzisław Tor**

*) Anna Seghers, „Umarli pozostają młodzi", „Czytelnik" 1949.

GRZEGORZ LASOTA

* * *

**Opadają kartki**
**opadają dnie**
**opadają pocałunki**
**jest słońce**

**w jej oczach**
**które są jego oczami**
**jest słońce**
**na polach kołchozu**
**„Budionnyj"**

**w plamach Van Gogha**
**w pogodzie Matisse**
**w świetle van Rinn**
**jest słońce**

**jest słońce**
**opadają kartki**
**opadają dnie**
**szukam słońca**
**jest —**

ZYGFRYD SAWKO

## *Wśród pobojowisk*

**Dziś koła motają tu drogę błotnistą**
**Na szprychy**
**— I kopyta dusząc się kaszlem,**
**Do upadłego brną w szarugach.**

**We mgle zawiesistej**
**Koń uszami strzygąc przycicha**
**I nie śmie stąpać. Znaszli-li**
**Ten kraj? Wicher u czasu pługa.**

**Ocieram z czoła pot kroplisty.**
**Czyż nowe widmo wojny w polu czyha?**
**Czemu choć bydłem trawy nie wypaśli?**
**Byliną czarną porósł ugor.**

**Zasieki kolczaste na ziemi porytej**
**I miny ukryte**
**I bunkry, okopy...**
**Lśnią kości, których nie ukrył**
**Zbyt nikły ciał ludzkich popiół...**

**Koń staje i strzyże uszami.**
**Na polu wicher w helmie.**
**Ruszysz tu traktorami**
**Uprawiać ziemię.**

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

## *Rzeka*

**Powoli rzeki płyną dolinami.**
**Może to dzieci kluczem dzikich gęsi,**
**echem fujarek przez łąki otworzą**
**drogę daleką do sinego morza.**
**A może łódce płynącej przed nami**
**kierunek poda dłoń dziewczyny**
**z brzegu — nuta jej pieśni**
**— trzeba aż skrzydeł pożyczyć od gąski**
**by z innych krain przybyć na brzeg śląski.**

**Jednako myją fale borów głębie,**
**filary mostów, które ponad sobą**
**podają rzędy wagoników z węglem.**
**Oto jest rzeka — tłem, ozdobą pieśni**
**ludzi od siebie oddzielając razem.**
**A oto mosty jak złączone dłonie**
**szyn długich stalą i filarów głazem.**

ZYGMUNT KROGULSKI

## *Wszystkimi ścieżkami pójdziemy*

**Chcą by armaty utyły chlebem**
**gdy bojaźń odgradza grzechy**
**a ludzie czernieją od głodu**
**Ale my nie zamieszkamy**
**pod kardynalskim niebem**
**i mnie będzie wtedy radośniej**
**i matce z dzieckiem u piersi**

**Nie wołam do Boga: ratuj**
**Do człowieka wołam: człowieku**
**daj dłoń i stawaj w szeregu**
**pieśnią rozedrzemy ciemność.**
**Jeśli swój uśmiech porównasz**
**do kwiatu otwierającego się wiosną**
**będziesz i ty współzawodniczył ze mną**
**wpleciony w krąg miłości —**
**Tak na imię mojemu bratu**

**Jest mi dobrze**
**bo zbliżyłem do siebie człowieka**
**zbliżyłem do siebie**
**Jego serce mam na dłoni**
**sam je przecież wyjąłem —**
**nóż piersi nie odmykał**
**gardło nie pluło krwią**
**Dotąd nie szliśmy razem**
**zabijali nas oni**
**zabijali was oni.**

**Liczę każdy uśmiech**
**jak żelbetonowe stopnie na piętro**
**stopnie ku przyszłości**
**gdzie dojść mamy razem**
**W marszu własnych stóp takt**
**rozdamy innym**
**rozdamy ludziom z brązu**
**z którymi tężał biały ptak**
**w klatce z siatki geograficznej —**
**pokoju biały ptak**
**i ludzie z brązu.**

**Głupia filozofia**
**że ludy ruszyć nie mogą —**
**ja przeczę**
**bo droga jest —**
**ta którą przeszło nowonarodzone dziecko**
**i świeży dla wszystkich chleb**
**wśród wiwatów.**

MIKOŁAJ OSTROWSKI

Przekład E. Słobodnikowej

# JAK HARTOWAŁA SIĘ STAL *)

Jesienny deszcz chlustał w twarz. Nisko nad ziemią pełzły ciemnoszare, nabrzmiałe wilgocią chmury. Późna jesień ogołociła leśne hufce, nasępili się wiekowi starcy — graby, chowając zmarszczki kory pod brunatnym mchem. Bezlitosna jesień zerwała z nich wspaniałe szaty i stały teraz nagie i wynędzniałe.

Samotnie wśród lasu przykucnęła mała stacyjka. Od murowanego placyku na towary odchodził w głąb lasu pas rozkopanej ziemi. Niczym mrówki oblepili go ludzie.

Lepka glina ohydnie mlaskała pod butami. Ludzie z zawziętością krzątali się przy nasypie. Głucho zgrzytały żelazne drągi, łopaty skrobały kamień.

A deszcz siał przez drobne sito i zimne krople przenikały skroś odzież. Deszcz zmywał pracę ludzi. Niczym gęsta kasza spełzała glina z nasypu.

Jakże ciężka i zimna jest przemoczona do ostatniej nitki odzież, lecz ludzie porzucali pracę dopiero późno wieczorem.

I z każdym dniem pas zrytej i spulchnionej ziemi coraz głębiej i głębiej wrzynał się w las.

Niedaleko od stacji ponuro garbi się murowany szkielet budynku. Wszystko, co dało się wypatroszyć, zdjąć lub zerwać, — wszystko to dawno zagrabiła ręka marudera. Zamiast okien i drzwi — otwory, zamiast drzwiczek przy piecach — czarne dziury. Przez szpary zerwanego dachu widać żebra krokwi.

Ostała się jedynie betonowa podłoga w czterech obszernych pokojach. Na niej kładło się nocą czterystu ludzi w ubraniu przemoczonym do nitki i oblepionym błotem. Ludzie przed drzwiami wyżymali odzież, ściekały z niej brudne strumienie. Siarczyście klęli diabelny deszcz i błoto. Zwartymi rzędami kładli się na betonowej podłodze zlekka przyprószonej słomą. Ludzie starali się nawzajem ogrzać. Odzież parowała, lecz nie wysychała. A przez worki zawieszone na ramach okiennych sączyła się na podłogę woda. Deszcz bił gęstym śrutem w resztki żelaza na dachu, a w szpary drzwi dmuchał wiatr.

Rankiem pili herbatę w starym baraku, gdzie mieściła się kuchnia i udawali się na nasyp. Na obiad jedli zabójczą przez swą jednostajność postną soczewicę i półtora funta czarnego jak antracyt chleba.

To było wszystko, co mogło dać miasto.

Kierownik techniczny, suchy, wysoki starzec, z dwiema głębokimi bruzdami na policzkach — Walerian Nikodimowicz Patoszkin i technik Wakulenko, krępy, o mięsistym nosie na z gruba ciosanej twarzy, ulokowali się w mieszkaniu naczelnika stacji.

Tokariew nocował w pokoiku czekisty stacyjnego Cholawy, krótkonogiego, ruchliwego jak rtęć.

Oddział budujący kolejkę z wściekłym uporem znosił wszelki niedostatek.

Nasyp z każdym dniem coraz dalej wgłębiał się w las.

Oddział liczył już dziewięciu dezerterów. Po paru dniach uciekło jeszcze pięciu.

Pierwszy cios spadł na budowę w drugim tygodniu: wieczorowy pociąg nie przywiózł z miasta chleba.

Dubawa zbudził Tokariewa i zakomunikował mu o tym.

Sekretarz kolektywu partyjnego spuściwszy na podłogę włochate nogi gniewnie poskrobał się pod pachą.

— Zabawa się zaczyna! — mruknął pod nosem szybko się ubierając.

Do pokoju wtoczył się jak kula Cholawa.

— Wal do telefonu i dodzwoń się do wydziału specjalnego, — rozkazał mu Tokariew. — Ty zaś, co do chleba, — uprzedził on jednocześnie Dubawę, — nikomu ani słowa.

Po półgodzinnym wymyślaniu telefonistom całej linii natarczywy Cholawa uzyskał połączenie z zastępcą naczelnika wydziału specjalnego, Żuchrajem. Słuchając jego wymysłów Tokariew niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Co? Chleba nie dostarczono? Zaraz się dowiem, czyja to robota,— z groźbą w głosie zahuczał w słuchawkę Żuchraj.

— Powiedz mi lepiej, czym jutro nakarmimy ludzi? — gniewnie krzyczał w słuchawkę Tokariew.

Żuchraj widocznie coś obmyślał. Po długiej pauzie sekretarz kolektywu partyjnego usłyszał:

— Chleb dostarczymy w nocy. Poślę z samochodem Litkiego, on zna drogę. Nad ranem chleb będzie już u was.

Skoro świt na stację zajechała obryzgana błotem ciężarówka naładowana workami z chlebem. Wysiadł z niej zmęczony i pobladły wskutek bezsennej nocy Litke — syn.

Walka o budowę kolejki zaostrzała się. Z zarządu kolei doniesiono: nie ma podkładów. W mieście nie znajdowano środków potrzebnych dla przetransportowania na budowę szyn oraz parowozików, a i same parowoziki wymagały poważnej naprawy. Pierwsza partia kończyła już robotę, a zmiany nie było. Zatrzymanie zaś wyczerpanych do cna ludzi wydawało się niemożliwością.

W starym baraku przy świetle kaganka do późnej nocy naradzał się aktyw.

Z rana pojechali do miasta Tokariew, Dubawa i Klawiczek, zabrawszy ze sobą jeszcze sześciu dla wyremontowania parowozików i dostawy szyn. Klawiczka jako zawodowego piekarza wydelegowano dla skontrolowania wydziału aprowizacyjnego, a pozostałych do Puszcze — Wodicy.

A deszcz wciąż lał.

Korczagin z trudem wyciągnął z lepkiego błota nogę i poczuwszy chłód w stopie zrozumiał, że zgniła podeszwa buta zupełnie odpadła. Od samego przyjazdu tutaj wciąż cierpiał z powodu kiepskich butów, zawsze wilgotnych i mlaskających błotem; obecnie zaś jedna podeszwa zupełnie odpadła i gołą nogą stąpał po przenikliwie zimnej gliniastej kaszy. But czynił go niezdatnym do pracy. Wydobywszy z błota resztkę podeszwy Paweł spojrzał na nią z rozpaczą i złamał dane sobie samemu słowo, że nie będzie więcej klął. Z resztką swego buta poszedł do baraku. Usiadł obok kuchni polowej, odwinął zabłoconą onucę i przybliżył do piecyka zdrętwiałą na chłodzie nogę.

Na stole kuchennym krajała buraki Odarka, żona dróżnika, którą kucharz wziął sobie do pomocy. Natura nie poskąpiła bynajmniej nie starej jeszcze dróżnikowej swych darów: po męsku szeroka w ramionach, o atletycznym biuście i jędrnych potężnych biodrach, umiejętnie operowała nożem i na stole szybko rosła góra nakrajanych jarzyn.

Odarka obrzuciła Pawła lekceważącym spojrzeniem i nieżyczliwie zapytała:

— Cóż to, czy już na obiad dybiesz? Troszeczkę za wcześnie. Widać od roboty, chłopaczku, się wykręcasz. Gdzież ty nogi pakujesz? To przecie kuchnia, a nie żadna łaźnia — wzięła w obroty Korczagina.

Wszedł kucharz, człowiek w podeszłym wieku.

— But rozleciał mi się w kawałki — objaśnił obecność swoją w kuchni Korczagin.

Kucharz obejrzał sfatygowany but i kiwnął głową w stronę Odarki:

— Jej mąż jest po trosze szewcem, będzie mógł coś zaradzić, gdyż bez obuwia to klęska.

Słuchając słów kucharza Odarka przyjrzała się Pawłowi i trochę się zawstydziła.

— A ja miałam was za próżniaka — przyznała się.

Paweł uśmiechnął się pobłażliwie. Odarka obejrzała but doświadczonym okiem.

— Łatać go chłop mój nie będzie — to nic nie da, lecz żebyś nie pokaleczył sobie nogi, przyniosę ci stary kalosz, wala się u nas taki na strychu. Gdzież to widziane, by się tak mordować! Nie dziś to jutro weźmie mróz, a wtedy zginiecie — już współczująco mówiła Odarka i odłożywszy nóż wyszła.

Wkrótce wróciła z głębokim kaloszem i kawałkiem płótna. Gdy owinięta w płótno i ogrzana noga wsunęła się do ciepłego kalosza, Paweł z milcząca wdzięcznością spojrzał na dróżnikową.

Tokariew wrócił z miasta zirytowany, zwołał do pokoju Cholawy aktyw i podzielił się niewesołymi nowinami.

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się kręcą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wyłowili białych gagatków, aż do samej śmierci nie pozbędziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do luftu. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przyślą — jeszcze nie wiadomo. Mrozy za pasem. Do tego czasu choćbyśmy mieli skonać, musimy przejść przez błoto, gdyż potem to nawet zębami nie ugryziesz. A więc, chłopaki, w mieście weźmie się w karby tych wszystkich, którzy się pałętają, a my tutaj musimy podwoić szybkość. Pięć razy zdechnij, a odnoga musi być zbudowana. W przeciwnym razie jacy z nas byliby bolszewicy — sami mazgaje — mówił Tokariew nie swoim zwykłym ochrypłym basem, lecz natężonym stalowym głosem. Oczy jego błyskając spod nawisłych brwi mówiły o stanowczości i uporze.

— Dziś jeszcze odbędziemy tajną naradę, wytłumaczymy o co chodzi naszym ludziom i wszyscy zabierzemy się jutro do roboty. Rano odprawimy bezpartyjnych, sami zaś zostaniemy. Oto decyzja komitetu gubernialnego — wręczył on Pankratowowi złożony we czworo arkusz.

Przez ramię tragarza Korczagin przeczytał: „Uważać za niezbędne pozostawienie na budowie wszystkich członków komsomołu, zezwalając na zmianę nie wcześniej niż po pierwszej dostawie drew. Za sekretarza komitetu gubernialnego R. Ustinowicz".

W ciasnym baraku nie sposób przejść. Natłoczyło się w nim stu dwudziestu ludzi. Stali przy ścianach, ulokowali się na stołach i nawet kuchni.

Zagaił zebranie Pankratow. Tokariew mówił niedługo, lecz ostatnie jego słowa wszystkich zdruzgotały:

— Jutro komuniści i komsomolcy do miasta nie pójdą.

Ręka starca podkreśliła w powietrzu całą nieodwołalność decyzji. Gest ten zniweczył ich nadzieję na powrót do miasta, do swoich, na wydostanie się z tego błota. W pierwszej chwili nie można było nic zrozumieć z rozlegających się okrzyków. Od ruchu ciał niespokojnie zamigotał płomyk ślepawego kaganka. Mrok zasnuł twarze. Zgiełk wzmagał się. Jedni mówili marzycielsko o „przytulności domowego ogniska", inni oburzali się i krzyczeli, że są zmęczeni. Wielu milczało. I tylko jeden oświadczył, że zdezerteruje. Podrażniony głos z kąta rzucał na przemian z przekleństwami:

— Do jasnej cholery! Nie zostanę tu ani jednego dnia! Zsyła się ludzi na katorgę przynajmniej za jakieś przestępstwo. A nas za co? Trzymano nas dwa tygodnie — wystarczy. Nie ma durniów. Niech ten, co to postanowił, sam przyjedzie budować. Kto chce, niech w tym błocie się babrze, a ja mam tylko jedno życie. Jutro wyjeżdżam.

Okuniew, za którego plecami stał ów krzykacz, zapalił zapałkę chcąc zobaczyć dezertera. Zapałka na sekundę wydarła z mroku wykrzywioną ze złości twarz i otwarte usta. Okuniew poznał go: był to syn buchaltera okręgowej komisji aprowizacyjnej.

— Czemu się przyglądasz? Nie ukrywam się, nie jestem złodziejem.

Zapałka zgasła. Pankratow wyprostował się.

— Któż to tak rozpuścił pysk? Dla kogóż to polecenie partyjne jest katorgą? — przemówił głuchym głosem, wodząc po stojących blisko niego ludziach ciężkim spojrzeniem. — Chłopaki, do miasta wracać nijak na mnie wolno, nasze miejsce jest tutaj. Jeśli damy stąd drapaka, ludzie zamarzną. Chłopaki, im szybciej skończymy, tym rychlej wrócimy, a wiać stąd, jak chce tego jakiś tam mazgaj, nie pozwala nam ani nasza idea ani karność.

Tragarz nie lubił wielkich przemówień, lecz i to krótkie przerwał mu wciąż ten sam głos:

— A czy bezpartyjni odjeżdżają?

— Tak — odciął Pankratow.

Do stołu przecisnął się młodzieniec w krótkim palcie miejskim. Mała legitymacja niczym nietoperz wywróciła ponad stołem koziołka, odbiła się o pierś Pankratowa i upadła na stół na sztorc.

— Oto legitymacja, proszę, weźcie ją sobie. Dla takiego świstka tektury nie poświęcę zdrowia!

Koniec zdania zagłuszyły miotające się po całym baraku głosy:

— Czym się ciskasz?

— Ach, ty, sprzedajno duszo!

— Do komsomołu się wkręcił, dobrej posadki wypatrywał!

— My cię nauczymy, bakterio tyfusowa!

Ten, który rzucił legitymację, schylił głowę i przecisnął się ku wyjściu. Ustępowanu mu z drogi, jak zadżumionemu. Skrzypnęły zamykające się za nim drzwi.

Pankratow ścisnął palcami rzuconą legitymację i przytknął ją do płomienia kaganka.

Tektura zapaliła się zwijając w zwęgloną rurkę.

*) Mikołaj Ostrowski urodził się w 1904 r. Już jako chłopak piętnastoletni wstępuje do komsomołu i bierze udział w walkach z wrogami młodej republiki radzieckiej. Umiera w r. 1936 na skutek długotrwałej ciężkiej choroby, której nabawił się podczas wojny domowej.

„Jak hartowała się stal" jest powieścią autobiograficzną, aczkolwiek pisaną w trzeciej osobie. Nie jest to jakiś nieudolny pamiętnik, jakiego należałoby się spodziewać po człowieku, nie mającym nawet za sobą ukończonej dwuklasowej szkoły, który zaangażowany od wczesnej młodości w walce nie miał czasu na dokształcanie się. Powieść ta posiada świadomą konstrukcję dojrzałego już dzieła. Jeśli styl jej nie jest jak to się mówi zapięty na ostatni guzik, to jednak zdumiewa swoim żywym i barwnym językiem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że, jak mówi o sobie w powieści na kilka lat przed zabraniem się do jej napisania, w artykule, który próbował po raz pierwszy w życiu napisać do gazety, było ponad trzydzieści usterek stylistycznych i masę błędów ortograficznych. Zabrał się wówczas do usilnej pracy nad sobą i żelazną wolą dokonał tego, że już będąc sparaliżowany i ślepy, napisał powieść, która dawała i w dalszym ciągu daje natchnienie młodzieży radzieckiej do pokonywania wszelkich trudności na drodze do zbudowania socjalizmu.

Z drukowanego poniżej fragmentu widać, z jakimi niesłychanymi trudnościami musiało borykać się pierwsze pokolenie komsomolców, odbudowujących kraj po zniszczeniach spowodowanych przez wojnę domową. W danym wypadku chodzi o jak najszybsze zbudowanie kolejki wąskotorowej, która miała służyć do przewożenia drew i żywności do Kijowa. Byli i tacy, którzy się załamali, lecz młodzież komsomolska nie cofnęła się przed żadnymi trudnościami i przez zbudowanie kolejki uratowała wówczas miasto od głodu i chłodu.

E. S.

# W ZWIĄZKU RADZIECKIM

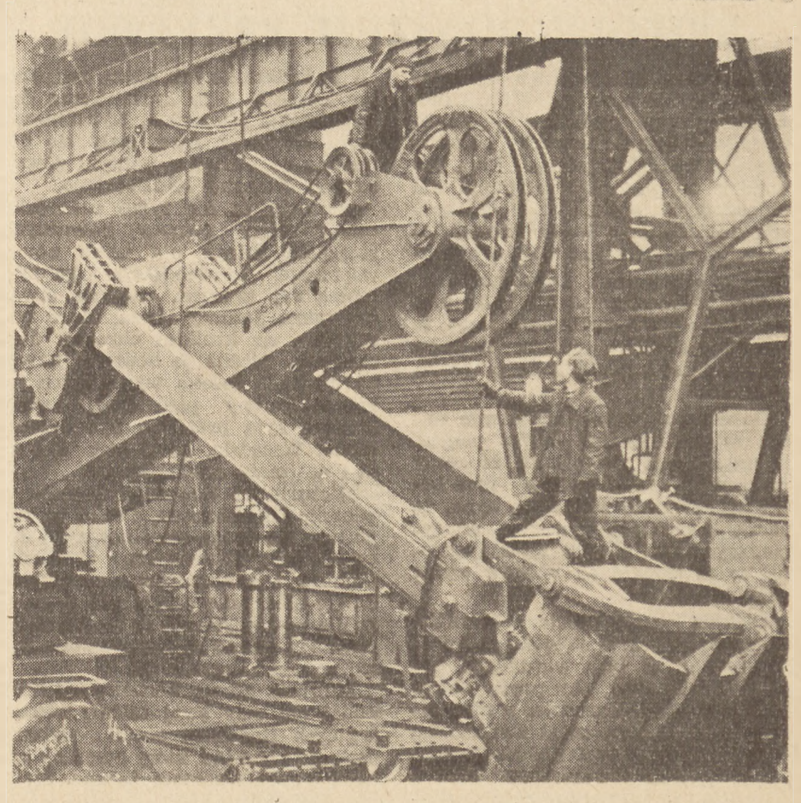

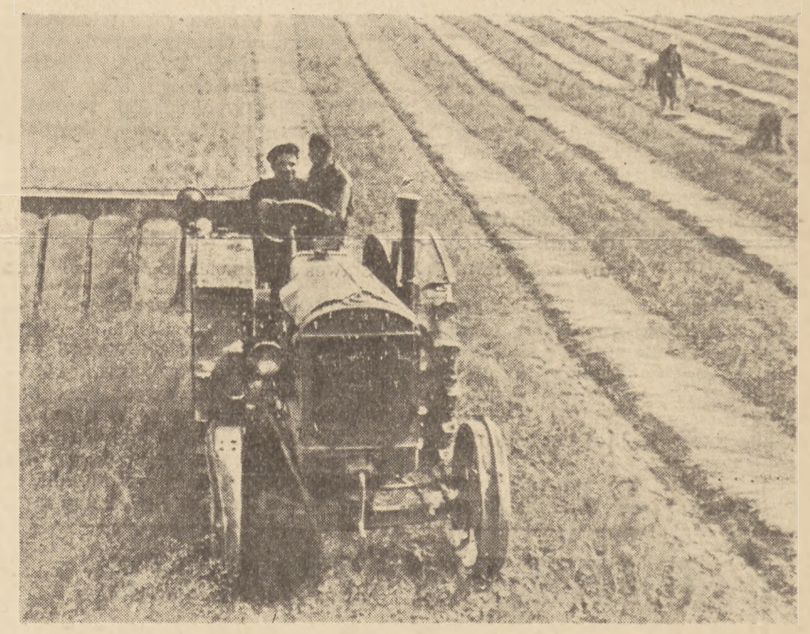

GUSTAW TOMALA

# NA ZAPADŁEJ WSI

## GDZIE JEST PRAWDA?

Wioska R. leży, jak informował mnie sceptyczny znajomek, na trochę podmokłym, gliniastym lecz dość urodzajnym gruncie. Do niedawna jeszcze nie można było przejechać przez wieś, w czasie ulewnych dni — nawet pustym wozem, koła wozów bowiem tak oblepiały się gliną, że już po kilkudziesięciu metrach przestawały się obracać, sunęły jak sanie.

Na środku wioski stał duży dom z szyldem sklepu spożywczego, w którym, jak dzień długi, siedzieli dawniej chłopi nad kartami lub przy wódce. Wieczorem natomiast przybywało tak wielu gości, że izby nie mogły wszystkich pomieścić.

Największy jednak ruch trwał prawie każdego wieczoru przy tylnych drzwiach karczmy, gdzie tłusty właściciel ob. W. odbierał bez wagi od kilkunastoletnich chłopców skradzione przed chwilą ojcu lub sąsiadowi — zboże. Za „ćwiartkę" tj. 25 kg. żyta dawał pan W. jednego złotego, za ćwiartkę pszenicy dwa złote.

Ten potworny demoralizator i wyzyskiwacz „dorobił" się przez kilka lat tak dalece, że wystawił nowy ładny ośmiomieszkaniowy dom i kupił dwudziestomorgowe gospodarstwo.

Takie stosunki trwały do wojny, w czasie której pan W. nie miał szczęścia, bo został wywieziony do Niemiec, prawdopodobnie za udział w jakimś dużym handlu towarami mięsnymi, a ponętne jego gospodarstwo zagarnął Niemiec.

## NOWA WIEŚ

Po odzyskaniu niepodległości znalazło się we wsi kilku byłych partyzantów, którzy w szeregach drugiej armii W. P. brali udział w walkach z Niemcami, o Drezno, Budziszyn, Pragę. Ci bojowcy po powrocie do wioski zaczęli myśleć — o podniesieniu życia w gromadzie na wyższy szczebel. Wyłożyli oni swój program otwarcie wszystkim mieszkańcom wsi, zdobywając od razu kilkunastu zwolenników. Jednak znaleźli się i tacy, którzy sądzili, że zacofana wieś nie da przebudować się na lepsze. A jeżeli — mówili — porwałby się na to ktoś, to nie wcześniej jak za czterdzieści, a może nawet i pięćdziesiąt lat. Ci obywatele wyjechali dla „lżejszego chleba" na Ziemie Odzyskane. Jednak pozostali ideowcy zabrali się ochoczo do pracy. Pierwszym ich czynem było wybudowanie przez wieś szosy.

Praca szła żwawo, szybko. Wśród pracujących widać było zapał, i nie spotykany dotąd entuzjazm, poczucie własnej siły. Toteż w niespełna dwa lata wybudowano przez wieś szosę i doprowadzono ją do szosy wojewódzkiej. W tym samym czasie otwarto pierwszą w gminie spółdzielnię ZSCh. Umieszczono ją w dawnym sklepie pana W. Spółdzielnia ta zyskała sobie szybko uznanie nie tylko miejscowych, ale i okolicznych rolników, którzy chociaż mieli sklepy prywatne w swoich wioskach, to jednak we wszystkie towary zaopatrywali się do czasu otwarcia własnych filii spółdzielczych wyłącznie w tej spółdzielni. Ambitni działacze postanowili zradiofonizować swoją gromadę. Gospodarze przyklasnęli projektowi, dali chętnie kilkuset złotową składkę z hektara, pomagali jeszcze przy pracach przygotowawczych i w rezultacie we wsi zagrały po raz pierwszy głośniki. I po tym nie spoczęto na laurach. Znów zawrzał we wsi ruch, zaczęto zwozić do wsi cement i zaprawiać go. Z cementu zbudowano mocne płyty, którymi wyłożono przez całą wieś chodniki. Dziś w wiosce tej nie „topią" się już ani wozy, ani ludzie. Dla wozów służy twarda szosa, dla pieszych betonowe chodniki...

Wieś ta dzisiaj odznacza się wysokim poziomem uspołecznienia i upolitycznienia mieszkańców. Wiedzą oni czym jest dla nich ludowy, demokratyczny rząd Polski, jakie są jego osiągnięcia i zamiary.

Wiedzę tę pogłębiają jeszcze ciągle książki i czasopisma. Z tych ostatnio licznie prenumerowane są: „Chłopska Droga", „Gromada", „Zielony Sztandar" i „Rolnik Polski". Tu i ówdzie da się również zauważyć: „Trybunę Wolności", oraz „Wieś" i „Pokolenie". Czasopisma są tak rozpowszechniane, że nie ma gospodarza umiejącego czytać, który by nie prenumerował jednego z pism. Jest jednak wielu prenumerujących dwa, trzy, a nawet cztery pisma. Specjalnym zainteresowaniem cieszą się wśród nich działy: polityczny, gospodarczy, a także „listy ze wsi", czy też „czytelnicy piszą". Nie gorzej rozwija się też czytelnictwo książek. Miejscowy punkt bibioteczny, wymieniający co miesiąc 80 do 100 książek — ma 60 czytelników zarejestrowanych. Jednak każda wypożyczona książka czytana jest w domu kilka razy, tak że czytelników niezarejestrowanych jest kilkakrotnie więcej... Mocno postawiona jest także sprawa kształcenia młodzieży...

## MŁODE POKOLENIE

Przed 39 r. przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego wyszło ze wsi do szkół średnich tylko czterech zamożniejszych synów chłopskich. Wyszło powiadam, bo wieś nie miała z nich najmniejszego pożytku. Jeden został oficerem, drugiego wuj oddał do seminarium duchownego, trzeci był naczelnikiem urzędu pocztowego koło Kowla, no i czwarty, mój znajomek, dobry rodak bo od 1945 r. nie był w swojej wiosce i nie tylko nie pomaga jej nic, ale nie wie nawet, jak ona żyje, jak się rozwija... Oprowadzając go w tym roku po wiosce pokazałem mu w pierwszym rzędzie świetlicę.

Mieści się ona w budynku sklepikarza W., który nie powrócił już do wioski. Wewnątrz zastaliśmy kilkanaście osób zajętych bądź to czytaniem gazet, bądź książek lub słuchających radia! Na stołach widzimy: „Wieś"; „Pokolenie"; „Nową Wieś"; „Dziennik Łódzki"; „Przyjaźń"; „Gromada"; „Zielony Sztandar" i „Rolnika Polskiego". Na ścianach barwnie ubrane portrety dostojników państwowych i napisy z hasłami: „Niech żyje przyjaźń polsko - radziecka"; „Niech żyje demokratyczny blok pokoju" i inne. W rozmowie z kierownikiem świetlicy, młodym nauczycielem, tutejszym rodakiem — dowiedziałem się, że szkoły średnie i zawodowe ukończyło ogółem z tej wioski szesnaście osób, a osiemnaście kształci się dalej. Z tych szesnastu trzech pracuje jako nauczyciele. Czterech jest ślusarzami w fabrykach, dwóch pracuje w miejscowej spółdzielni, jeden w zarządzie gminnym, a pozostałych sześciu pracuje w różnych urzędach. Wszyscy oni utrzymują kontakt z gromadą i pomagają w jej organizowaniu.

Spośród kształcącej się młodzieży większość uczęszcza do szkół zawodowych, a to do szkoły przemysłu metalowego i drzewnego oraz do szkoły rolniczej. Tam uczą się młodzi chłopi nowych zawodów i życia społecznego. Miejscowi nauczyciele prowadzą znów kursy przysposobienia rolniczego i kursy dla analfabetów...

Tak więc wspólnymi siłami w przeciągu czterech lat z wioski zacofanej, uczyniono wioskę światłą, przodującą. W miejscach gdzie kilka lat temu panoszyło się pijaństwo, rozpusta połączona z najordynarniejszym wyzyskiem — dziś kwitnie, oświata, kultura prowadząca do lepszej przyszłości, do dobrobytu.

Prawda, że i dziś jeszcze zdarzają się fakty, że ten lub ów chłopiec zmusi ojca do wydawania mu „ćwiartki" zboża, lub wynajmie swe siły jakiemuś bogatszemu gospodarzowi, ale wiecie na co przeznacza te pieniądze: na książki i gazety...

A wiecie, czego w czytaniu szukają?

Marks pisał o wsi w kapitalistycznym ustroju — „parcela, chłop i rodzina: obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem". Z takich wiosek składały się nasze powiaty, województwa. Taką drobną wioską była też wieś R. Siedzieli w niej jeden obok drugiego chłopi. Siedzieli i „gospodarowali" na swych małych parcelach. Rodziny ich zwiększały się, parcele stawały znów węższe, brakowało chleba, a wprowadzenie wyższych form gospodarki na indywidualnych parcelach było wprost niemożliwe, dlatego drobno i średniorolni chłopi popadali w coraz to większą nędzę.

Niejednokrotnie zmuszeni byli sprzedawać, lub wydzierżawiać bogatym gospodarzom swe parcelki, a sami iść do służby. Biedniak tracił więc wszystko — bogacz zyskiwał, to już była walka klasowa.

— My jednak nie mogliśmy temu przeciwdziałać — mówią chłopi z R. — bo nikt nie dbał o nasze życie, rząd też nie był nasz. Byliśmy mu obcymi. Dziś jednak jest inaczej. Rząd jest nasz, opiekuje się nami, dlatego przy jego pomocy wyzwolimy się spod jarzma wyzyskiwaczy i zaczniemy żyć lepiej.

A młodzi mówią jeszcze inaczej: po co ogólniki „o życiu lepiej", my wiemy, jaka jest droga do lepszego i zaczynamy na wsi długie, szczegółowe dyskusje nad spółdzielnią produkcyjną. Przekonamy.

Gustaw Tomala

W. Bielow w roli Miczurina

WACŁAW ŚWIERADOWSKI

# „CZARODZIEJ SADÓW"
## REWOLUCJONIZUJE PRZYRODĘ

Na ekrany kin polskich wprowadzono obecnie film, który obok niezaprzeczalnych walorów ogólnych posiada specjalne wartości poznawcze dla widza wiejskiego. Film ten wejdzie do głównego programu kin objazdowych, spełniając w ten sposób doniosłą rolę kulturalno-oświatową. Mam na myśli film o Miczurinie w reżyserii A. Dowżenki.

Film „Miczurin" to nie tylko biografia wielkiego samouka-biologa, to przede wszystkim lekcja nowego, rewolucyjnego poglądu na przyrodę, na świat.

Do czasów rozpowszechnienia nauki miczurinowskiej istniał pogląd, że natura jest niezmienna, że cechy poszczególnych gatunków przechodzą dziedzicznie z ojca na syna, że żadne dociekania naukowe, odkrycia, wynalazki nic nie zdołają zmienić w ustalonym od wieków trybie natury.

Główna część życia Miczurina przypada na okres powolnego konania caratu. W tych warunkach było niemożliwością, aby prosty chłop, na niewielkiej zagrodzie, z niewielkim także sadem, mógł zwrócić na siebie uwagę swymi doświadczeniami. Ludzie „z towarzystwa" kpili z Miczurina, a przedstawiciele duchowieństwa wyśmiewali i potępiali jego naukę.

Mimo to Miczurin niezrażony trwał przy swych doświadczeniach.

Film „Miczurin" rozpoczyna scena, w której dwaj uczeni amerykańscy, zainteresowani publikacjami na temat odkryć Miczurina, proponują mu odkupienie „ziemi wraz z sadem" i stworzenie dla niego w Stanach Zjednoczonych „okolic, przypominających jego kraj rodzinny" — byle tylko z nimi pojechał.

Miczurin jest jednak nie tylko rewolucjonistą w nauce, ale i prawdziwym rewolucyjnym patriotą. Nie sprzeda się w niewolę kapitałowi amerykańskiemu, nawet za najbardziej kuszące obietnice. Nie opuści kraju, mimo, że kraj ten traktuje go po macoszemu.

Miczurinowi nie zabrakło odwagi wytrwania aż do Wielkiej Rewolucji Październikowej, która radykalnie zmieniła jego życie. Teraz doświadczenia Miczurina, wyśmiewane przez sługusów cara, stały się potrzebne do planowej polityki gospodarczej Związku Radzieckiego.

Miczurin to nie tylko czarodziej sadów. Przy pomocy odważnych szczepień osiąga nie tylko nowe, wspaniałe, mrozoodporne gatunki jabłek czy gruszek. Miczurin stwarza także gatunki zboża, które odznaczają się krótkim okresem dojrzewania. Można je hodować nawet na terenach daleko wysuniętych na północ. Tereny pszeniczne, tereny uprawy żyta przestają być ograniczone. Wszędzie, gdzie jest z i e m i a, może rosnąć zboże!

Miczurin po Rewolucji pracuje w wielkim laboratorium, z roku na rok posuwa się drogą rewolucyjnych doświadczeń naukowych. Gromadzi uczniów i entuzjastów, zapowiada dalsze olbrzymie osiągnięcia w dziedzinie wykorzystania naturalnych sił przyrody. Mimo to nie przestaje być skromnym człowiekiem.

Miczurin gorąco kochał swój kraj, oddał mu cały swój talent, wiedzę. Związek Radziecki ocenił wybitne zasługi Miczurina, który otaczany był stałą opieką i pomocą Lenina, Stalina, Kalinina.

Miczurin samym sobą udowodnił, jak olbrzymie talenty drzemią w ludzie rosyjskim. Dzisiaj młodzież Związku Radzieckiego uczy się w setkach wyższych uczelni, studiując między innymi i rozwijając doświadczenia i osiągnięcia Miczurina.

Aleksander Dowżenko, opierając się na materiałach z życia Miczurina, zrealizował film barwny. Kinematografia barwna jest jakby specjalnie predestynowana do tego rodzaju filmów. Przyroda żyje na ekranie w najpiękniejszych, naturalnych barwach.

Dubbing (podkład dialogowy) polski, wykonany celowo głównie z myślą o kinach objazdowych, jest poprawny. W każdym razie celowość polskiego podkładu w filmach przeznaczonych przede wszystkim dla wsi, nie budzi żadnej wątpliwości.

**Wacław Świeradowski**

STANISŁAW ORZEŁ

# WIEŚ - BUDZI SIĘ!

Odgrodzona od świata „bielonymi płotami", zamglona oparami domowego wyrobu bimbru z czasów okupacji, wieś budzi się do nowego życia — tężyzny fizycznej i moralnej. Sport wszedł do wsi szeroko otwartymi wrotami. Powitała go młodzież nieśmiało, starsi drwinami, zaśniedziali kibice miasteczkowi — złośliwym uśmiechem i dowcipami.

...Bo i gdzie ...kto to widział... Chłop do pługa stworzony, do cepów, a tu nagle sportu mu się zachciało! Kto dawniej o tym myślał, komu się chciało takimi rzeczami zajmować.

Niedziela — wiadomo: we wsi granie ze składkowych pieniędzy się odbywało. Wódka musiała być ze sprzedanej po kryjomu ćwierci ojcowego żyta, a że nożem ten, czy ów po żebrach dostał — toć to junactwem i ich chłopską odwagą było. Piłka nożna czy biegi uchodziły w samej wsi za dziwactwo, wariactwo prawie. Nie było na to czasu — był śmiech i wstyd fałszywy.

Aż nagle wieś się przebudziła! Sodoma i Gomora!

Wydeptane nieużytki pastwisk gminnych grodzić poczęto. Zasypano doły, rozrzucono kretowiska, ustawiono „jakiesić" bramki. Rozpoczęła się gra w piłkę nożną — w przedwieczerza, w dni wolniejsze od pracy, całe popołudnia w niedziele czy święta.

Wszystko odbywało się prawidłowo. Wąsate dryblasy kopały zawzięcie, częściej co prawda w ziemię, w kostki kolegów a rzadziej w piłkę, ale szło co raz lepiej. Stateczni gospodarze, zapominając o swojej powadze „ryczeli" razem z gromadą dzieci:

— Pietrek, nie daj się! Wal! Wal gola! Gola! Gola!

Bywało, że Pietrek zamiast gola walił Michała i już nie w kostkę a pięścią w oko. Jednak każdy następny mecz gromadził tłumy i był co raz lepszy. Najgorszym było tylko to, że zawodnik, ojciec dzieciom i mąż żonie — za rozwalone buty, czy pęknięte świąteczne spodnie dostawał w domu „gola" wałkiem od niewyrozumiałej połowicy. Od tego się zaczęło. Potem przyszły buty, koszulki sportowe, spodenki, a potem zaprosili tych z Wólki, aby się „spróbować" ...I sędzia był, i z miasta przyszli — i wkroczył do wsi sport.

W blaskach przedwieczornego słońca prostują się zgarbione pracą ramiona, prężą nogi w wyciągniętym biegu: — to wieś wygrywa swój bieg do sportu, do zdrowia. To już nie wstyd, nie żart — a entuzjazm.

Warto z nią biec naprzełaj przez powiat tarnobrzeski, rozsiadły w widłach Wisły i Sanu. Biedota folwarczna Mokrzyszowa, Miechocina, Zakrzowa, nędzą piasków karmiona — Żupawa. Stale. Jeziorko, bagnami pocięte wsie nadsaneckie — razem 70 ludowych zespołów ruszyło do biegu na swoich boiskach. Dzięki Woj. Radzie Sportu Wiejskiego sprzętu jest dość w powiecie, ale nie wszędzie są jeszcze ludzie, którzy mogliby pouczyć, pokazać młodym wiejskim sportowcom, jak zdrowie rozwijać a nie niszczyć na boiskach, których powiat posiada aż: 64 dużych, 64 siatkowych i 16 koszykowych. 52 zespoły wiejskie piłki nożnej rozgrywają mecze między sobą. I miasto z wiślanego brzegu — Tarnobrzeg — otwiera bramy swojego stadionu dla gości ze wsi lub wysyła swoją narazie „C" klasową drużynę na wsie. Wąsaci widzowie stawiają zakłady, zachęcają do wysiłku... bo to i wstyd przegrać... i przecie chłopoki ...nie dajta się na drugi roz... Tak! Nie dajta się!

I znika kłamstwo, że młodzież wiejska zaciężka jest do sportu. Dowiodły tego mistrzostwa Polski w biegu na przełaj, które odbyły się w Białymstoku w dniu 9 października b. r. Wicemistrzynią Polski w biegu na przełaj na 2.500 m. została Jajkiewicz Maria z Ludowego Zespołu Sportowego. A jej koleżanka Styczyńska Helena zajęła III miejsce. Syn małorolnego chłopa z Chmielowa również z powiatu tarnobrzeskiego Jan Pyszka zajął 4-te miejsce w biegu na 7.000 m, ulegając mistrzowi Polski Kielarzowi, Krausikowi, oraz Biernatowi.

Biegną młodzi! A wieś patrzy, dziwuje się, jest dumna!

*Stanisław Orzeł*

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

# CZESKIE FILMY

W ramach tygodnia filmów czechosłowackich, przypadającego na koniec września, ujrzeliśmy świeżą i najświeższą produkcję sąsiedniej kinematografii. Zarepreznowano dziewięć pozycji: „Milcząca barykada", „Wilcze doły", „Jan Rohacz z Dube", „Sumienie", „Żelazny dziadek", „Awantura na wsi", „Pan Nowak", „500 cmm"", i „Odział Z—8".

Dwa pierwsze filmy dotyczą okresu okupacji, trzeci ukazuje fragment historii piętnastowiecznych Czech, czwarty jest mieszczańskim dramatem psychologicznym, a pozostałych pięć kipi żywą współczesną problematyką.

I ta piątka (w tym trzy komedie), stanowi najcenniejszą pozycję festiwalu, właśnie ze względu na swoją żywotną, ogólnie interesującą tematykę.

Społeczna tematyka filmowa Czech do 48 roku mogłaby się powołać tylko na dwie pozycje: „Syrenę" i „Sępy". Jest to oczywiście bardzo niewiele przy wcale obfitej produkcji czeskiej, realizującej przeszło 30 filmów rocznie. Dopiero przełom lutowy wywołał zmianę w stosunkach, panujących w upaństwowionej kinematografii.

Przemiany polityczne szczęśliwie zapoczątkowały aktywizację filmu społecznego w Czechosłowacji.

Komedia Bożywoja Zemana „Pan Nowak" godzi w ograniczonych, zbiurokratyzowanych urzędników, którzy, żywiąc bałwochwalczą cześć dla rzekomo wysoko intelektualnych walorów biurowej roboty — nie dostrzegają twórczej i myślącej pracy robotnika w fabryce. Po przewrocie lutowym w 48 roku przemysł czechosłowacki zaczął cierpieć na olbrzymi niedostatek siły roboczej, która natomiast nieproduktywnie zalegała biura, urzędy i instytucje. Rząd rzucił hasło translokacji nadmiaru elementu urzędniczego do fabryk i zakładów pracy. Hasło to zaszokowało dużą część konserwatywnej inteligencji, upatrującej w pracy fizycznej degradację i wyjałowienie umysłowe. Film umiejętnie pokazuje, jak rozbijają się uprzedzenia i nawyki myślowe urzędników w zetknięciu z pracą w fabryce, jak wytwarza się współżycie z robotnikami, jak z czasem niesforny i nieporadny element urzędniczy zajmuje pożyteczne miejsce w procesie produkcyjnym i jak kształtuje w sobie nową socjalistyczną świadomość.

Doskonała komediowo „Awantura na wsi" obrazuje na przykładzie toczącego się na wsi sporu o kupno pralni mechanicznej — rodzące się socjalistyczne, czynniki przebudowy wsi w kierunku nowoczesnej, postępowej gospodarki. Film, szczególnie nadający się na wieś, niewątpliwie zawita do niej w ramach akcji kina objazdowego. Filmowi temu należy zarzucić zbyt słabe podkreślenie klasowego rozwarstwienia wsi.

„500 cmm" i „Oddział Z — 8" przenoszą nas na teren fabryki, w środowisko robotnicze. Pierwszy relacjonuje historię współzawodnictwa fabryk motocyklowych, pokazuje zapał i twórczą zgodną współpracę ekipy techniczno - inżynierskiej i robotniczej. Wymieniony film jest artystycznie najsłabszy z pięciu wyróżnionych, na co wpłynęła może reżyseria Fricza, autora nieszczęsnego, mocno bzdurnego, „Pocałunku na stadionie".

„Oddział Z-8" opowiada o walce z sabotażem i wrogiem klasowym na terenie fabryki.

„Żelazny dziadek", z b. dobrym aktorem Jarosławem Marwanem w tytułowej roli, ukazuje w sposób bardzo sympatyczny i wzruszający przywiązanie starego maszynisty do swego warsztatu. Zagrożony emeryturą przełamuje piętrzące się przeszkody i wraca do ulubionej pracy. Wielki talent Marwana potwierdza się jeszcze raz w tym filmie

Omówione filmy w zadawalający często wzorowy sposób odpowiadają zamówieniom na „film społeczny" o tematyce współczesnej.

Z pozostałych „Milcząca barykada", film niewątpliwie o dużych ambicjach, próbujący przedstawić majowe dni powstania praskiego 45 roku — raczej zawodzi. Winę ponosi scenariusz, opierający się na kilku opowiadaniach Drdy, w scenariuszu mało powiązanych ze sobą. Akcja filmu wskutek tego jest rozbita i fragmentaryczna. W filmie gra Polka, Barbara Drapińska, bohaterka „Ostatniego etapu" — rolę studentki polskiej z oświęcimskiego koncentraku. Waga i znaczenie jej udziału i postaci w powstaniu (gdzie urasta przecież do miary symbolu) wydają się nieco in plus przerysowane.

„Wilcze doły", film o powstaniu słowackim, obok dużych zalet — jak pełne rozmachu ujęcie kilkutygodniowej walki zbrojnej z hitlerowskim okupantem i znakomita fotografia — posiada i poważne błędy. Opowiada o zbyt wielu rzeczach, jest nieco przydługi i nużący oraz grzeszy nieuzasadnionym artystycznie nagromadzeniem okropności, które rażą widza. A przecież takie filmy, jak „Ostatni etap" czy „Rzym miasto otwarte", pokazały, że dla przedstawienia okrucieństwa Niemców niekoniecznie trzeba robić z filmu makabrę.

„Jan Rohacz z Dube", historyczny film kolorowy z okresu wojen husyckich, podobnie jak „Milcząca barykada", mocno akcentuje momenty przyjaźni polsko - czechosłowackiej. Posiada znakomite sceny batalistyczne; ujmuje trafnie wybranym fragmentem historii Czech. Walki z penetracją germańską, popieraną przez magnaterię i wyższy kler, [illegible] mu wspomagane przez polskich [illegible] skim i żywotnym. „Jan Rohacz" jest pierwszym kolorowym filmem czeskim, od samego startu o dużych walorach barwy.

Ostatni film „Sumienie", reprezentujący niemałe wartości aktorskie i reżyserskie, utrzymany jest wyraźnie w konwencjach mieszczańskich. Wytknęła to surowo kinematografii czeskiej polska krytyka filmowa.

Festiwal filmów czeskich udowodnił, że kinematografia naszego sąsiada i sprzymierzeńca znajduje się na dobrej, socjalistycznej drodze.

**Władysław Leszczyński**

# DZISIAJ INACZEJ...

Siedzę na ławie przed domem. Jest pora obiadowa, więc trzeba chwilę odpocząć. Drogą idzie Stach Góra odświętnie ubrany, choć dzień jest powszedni. Podchodzi do mnie — uśmiechnięty. Trochę skonfudowanym głosem prosi, abym wydał mu zaświadczenie o ilości posiadanej przez jego ojca ziemi. Zaciekawiło mnie to i pytam, do czego mu takie zaświadczenie potrzebne. — Odpowiada, że wyjeżdża razem z Grudniem Zygmuntem i Glancem Mańkiem do Szkoły Budowlanej. Kiedy to usłyszałem, pytam na jak długo i ile miesięcznie będą płacili za pobyt w szkole (naukę i wyżywienie), ciekawi mnie to, bo wiem, że rodzice wszystkich trzech, ze względu na swe małe gospodarstwa nie mogą sobie pozwolić na wysoką opłatę. Stach uśmiechnął się wyrozumiale, powiedział:

Szkoła ma trwać dwa lata, a później jak będzie mi dobrze szło — to jeszcze dwa lata liceum. A co do opłaty to wszystko na koszt Państwa, bo wysyła nas Komenda Powiatowa „Służby Polsce" w Radomsku. Nie mówiąc i nie pytając go o nic więcej poszedłem z nim do mieszkania i wypisałem kartkę następującej treści: „Zaświadcza się, że ob. Góra Jan zam. w Ulesiu posiada 3 ha ziemi ornej wraz z łąką i pastwiskiem. Na utrzymaniu ma 5 osób. Powyższe zaświadczenie wydaje sie celem przedłożenia władzom Szkoły Budowlanej w Mławie". Położyłem pieczęć, i wręczając mu zaświadczenie powiedziałem — „chłopie nie zawiedź zaufania, jakim cię darzą władze powiatowe „S.P." no i my ze wsi".

— „Będę się starał jak do tej pory w organizacji".

Uścisnęliśmy sobie dłonie, wejrzeliśmy w oczy, i odszedł. Na piersi błysnął mu tylko znaczek Z.M.P. Widać było z oczu, że będzie się dobrze uczył w szkole, bo życie dotychczas miał twarde.

Zastanowiłem się chwilę nad chłopcami, którzy odchodzą dziś do szkoły. Z Ulesia uczy się ich już nie mała gromada.

Stach Siewek poszedł na ochotnika do oficerskiej szkoły, Grajów Heniek jest w szkole przemysłowej na 2-gim roku, w Kielcach w hucie „Ludwików", Płatek Maniek gdzieś tam na Śląsku uczy się za górnika już drugi rok, Tadzik Stępień, Wojdyło Stach, Smagów i inni w szkołach ogólnokształcących. Wszyscy oni uczą się prawie darmo, a ci „przemysłowcy" nawet jeszcze zarabiają gotówkę. Dawni ich poprzednicy mieli jedno tylko wyjście — do dworu tymowskiego na dniówkę, albo na „bańdochy". 13 lat temu i ja takim 17-letnim chłopcem byłem. Skończyłem „powszechniaka" i dalej ani rusz. Ale to nie tylko ja, bo wszyscy we wsi takimi samymi byli, bo trzeba by było na jeden rok nauki sprzedać ostatnią krowę i to by nie starczyło. A dalej?...

Cóż było robić! Zbieraliśmy się wieczorami na karty, czasem jak grosz wpadł na wódkę, a co tygodnia trzeba było wywołać awanturę, pobić komuś okna, kości porachować — jak się to mówiło itp. Dzisiaj inaczej!

Historia toczy się naprzód i już się nie powtórzy. My którzyśmy w koszmarnym okresie swoje lata młodzieńcze spędzali, dla których rozwój umysłu poprzez naukę był zamknięty, winniśmy dziś wyciągnąć wnioski i naukę na przyszłość. Jeszcze często słyszymy narzekania. — Narzekania może nawet nie są bez powodów to jest fakt, ale czy zastanawia się każdy z nas, jaki kolosalny skok jest zrobiony naprzód? — chyba nie, bo jeżeli byśmy analizowali osiągnięcia nasze, to byśmy chwilowe niedociągnięcia cierpliwie znosili, a usilnie pracowali nad ich usunięciem.

Dzisiaj należy się zastanowić jeszcze nad jednym: gdzie leży źródło tego, że nasi Stachowie, Mańkowie i inni mogą się spokojnie uczyć w szkole na przyszłych budowniczych Polski. Odpowiedź jest jedna i prosta. Źródłem osiągnięć naszej i wszystkich wsi i całej Polski jest to, że kraj nasz wyzwoliła Armia Czerwona i to, że rozwija się przyjaźń radziecko - polska, którą winniśmy systematycznie pogłębiać i utrwalać, bo to jest fundament naszego dalszego marszu naprzód w rozwoju gospodarczym i kulturalnym, a pamiętajmy, że październik to miesiąc przyjaźni polsko - radzieckiej.

**Marian Nowiński**

# *FAKTY I ZDANIA*

### STWIERDZENIA I RADY

W 1946 roku wyszło w New-Yorku nowe wydanie słynnej książki Toqueville'a „Demokracja w Ameryce", z przedmową prof. F. Bradley. Książka została napisana między 1833 a 1840 rokiem, przedmowa — jak powiedziano — w 1946 roku.

Otóż prof. Bradley — dowodzi, iż Toqueville pomylił się twierdząc, jakoby Ameryce zagrażała w przyszłości „tyrania większości". Wręcz przeciwnie dowodzi, Stanami Zjednoczonymi kieruje dziś „zorganizowany i skoncentrowany nacisk specjalnej mniejszości, która dba przede wszystkim o swoje specyficzne interesy".

Dalej tenże autor przedmowy polemizuje z tezą o prawie równości w Ameryce, w którym Toqueville widział „podstawy stabilizacji i postępu społecznego, gwarancji przeciwko rewolucji". Ale o jakim równouprawnieniu można mówić w dzisiejszej Ameryce? — zapytuje prof. Bradley. Przeciwieństwa między nędzą i bogactwem zaostrzyły się w niemniejszej mierze niż w Europie.

W końcu szanowny profesor dowodzi, że jedyny ratunek może znaleźć imperializm amerykański w wierze (zapewne w dolar). Cóż można do tego dodać? Że dolarowa religia nie ratuje już kapitalizmu amerykańskiego przed kryzysem, mas — przed nędzą, a wasali Ameryki przed załamaniem gospodarczym.

K.

### KSIĄDZ ZWOLENNIKIEM ANALFABETYZMU

Ksiądz P. stara się wszelkimi siłami, aby na wsi utrzymać jak najdłużej ciemnotę i zacofanie, bo wie, że ciemnego chłopa nie trudno wykorzystać.

Najpierw straszy go z ambony piekłem i diabłem za urządzanie zabaw po wykopkach w piątki, a następnie każe sobie przynosić „na ofiarę" nie tylko pieniądze, ale ziemniaki, żyto i inne produkty żywnościowe i zostawiać w kuchni na plebanii, gdzie stoją już specjalnie przygotowane skrzynie i worki.

Przy takiej „polityce" nic dziwnego, że gdy zwrócił się do księdza P. kierownik szkoły, by ogłosił w kościele datę rozpoczęcia kursu dla analfabetów, ksiądz tak się kwasił, tak krzywił i odmawiał, aż wreszcie komunikatu nie ogłosił, ponieważ „nie wypadało".

Bez żadnego lęku i żadnych skrupułów natomiast ogłosił z ambony wiadomość, że rozpoczyna kopanie ziemniaków, i żeby ludzie przychodzili do niego kopać (odrabiać pańszczyznę — psiakrew!)

**J - ki**
pow. Wieluń

### O ASPOŁECZNYCH KSIĘŻACH

Powiatowy Zarząd Z.S.Ch. w Legnicy pragnąc przyjść z pomocą kobietom wiejskim, mającym drobne dzieci zorganizował w okresie żniw kilka dziecińców.

Jeden z dziecińców miał być zorganizowany w budynku szkolnym. Ponieważ budynek szkolny wymagał wewnątrz remontu Instruktorka Koła Gospodyń Wiejskich zwróciła się do księdza, ażeby zezwolił na czas remontu urządzić dzieciniec w pustych pokojach niezamieszkałej (ksiądz mieszka w Legnicy) plebanii.

Ksiądz stwierdził, że sam w tej sprawie nie może decydować, musiałby zwrócić się o zezwolenie do księdza biskupa. Obecny przy rozmowie ksiądz wizytator z Wrocławia kategorycznie sprzeciwił się jednak jakimkolwiek na ten temat pertraktacjom.

Zapytuję, jak określić postawę tych dwóch księży, którzy co niedzielę głoszą słowa Chrystusa, a sami według nich nie postępują?!

**Bronisław Marcinek**
Legnica

### SPROSTOWANIE

Do N-ru 45 wkradło się kilka błędów korektorskich: 1) pod artykułem „Wskazania na wczoraj, dziś i jutro" podpisano błędnie M. Kamari, 2) w tymże artykule podtytuł w szpalcie 4-ej winien brzmieć „26 września 1917 r.", 3) imię autora „O latach i barwach" brzmi Juliusz, nie zaś Julian Fucznik.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76. Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5.
B-90777
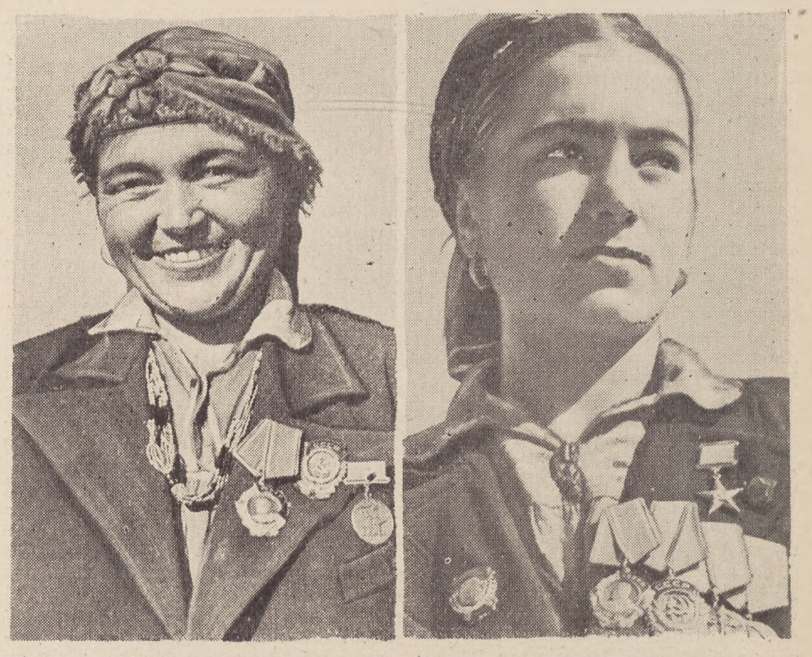
## KOBIETY – BOHATERAMI PRACY W ZWIĄZKU RADZIECKIM